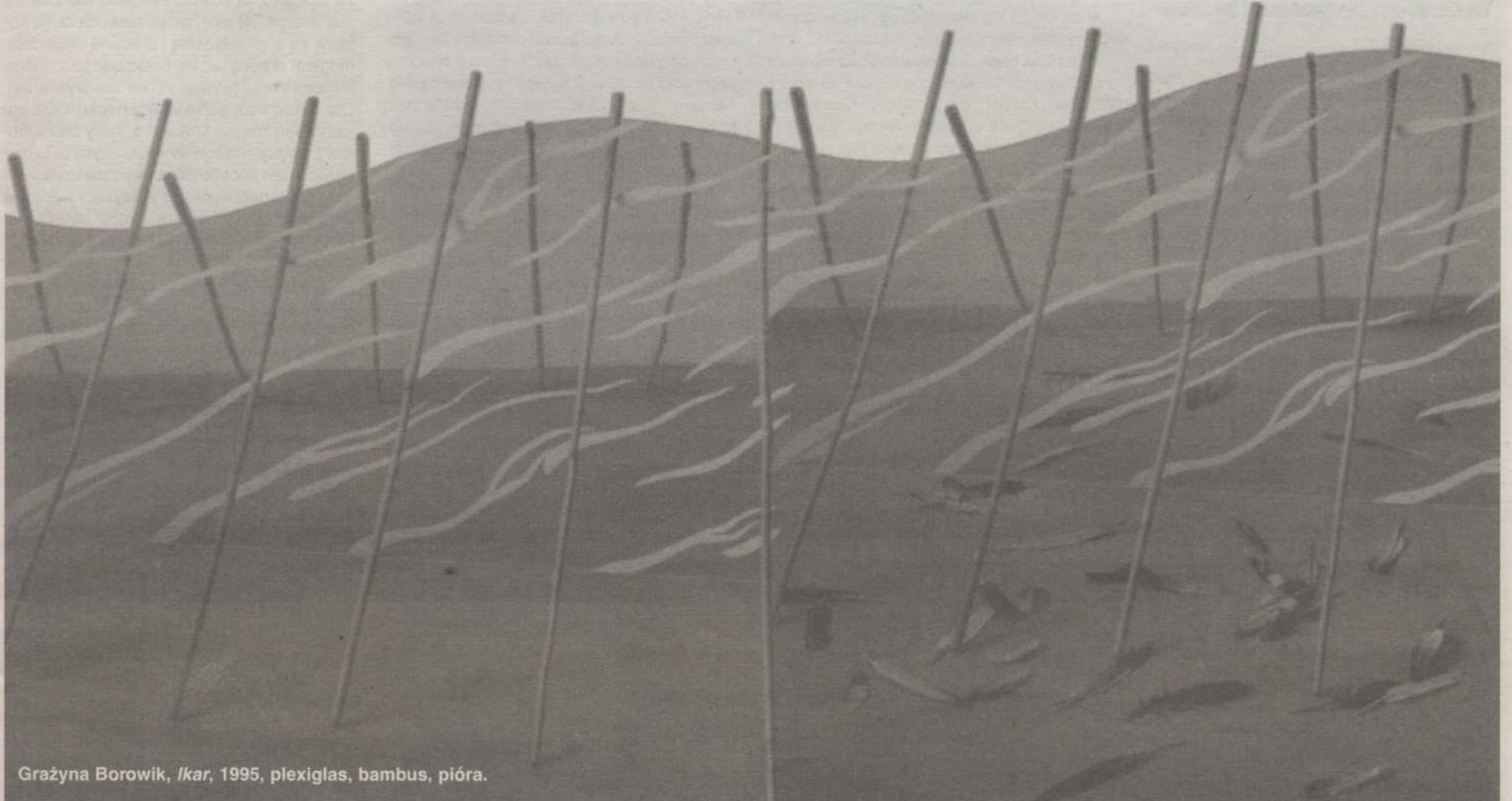


DEKADA Literacka

Rozmowa z Jerzym Hordyńskim ■ Literatura i cenzura: Józef Hen ■ Włodzimierz Maciąg o dialogu Michnik-Tischner ■ Spór o Güntera Grassa ■ Literacki Nobel 1995

Zbigniew Kruszyński SZKICE HISTORYCZNE



Grażyna Borowik, *Ikar*, 1995, plexiglas, bambus, pióra.

RAZ

Konspiracja chcąc nie chcąc pachniała mu ciastem. Wysokim słodkim ciastem, przepis pani domu. Mocna, świeża herbata, poparzony język na chwilę tracił czucie — trzymać za zębami. — Cukier? Uwaga, opanować drżenie, pewną ręką go donieść nad brzeg filiżanki. Prościej byłoby w kostkach — pomyślał, przechodząc codziennie ponawianą, torturę sypania.

Na chwilę przepraszała, znikła w pokoju. Dwie, trzy niegrube, niegroźne koperty (prokurator, podnosząc je triumfalnie w palcach: starannie zgromadzony materiał dowodowy).

Dopijali herbatę, mówiąc o czym innym. Trzęsienie ziemi w Indiach. List od Es. Te. Piłka — uderzała rytmicznie o furtkę sąsiada. Gdzieś przejechał samochód, nie do nich, nie po nich. Mucha między szybami, brzęczy, bo nie siada.

Wyjechał D., podobno aż do Australii, w kolejce do mięsnego puste miejsce: zona nie zdążyła wykupić już ostatniej kartki, łopatka i na rosół, solidarnie dzielonej teraz między sąsiadki, zamiast pożegnania.

Okradli E., to w ramach spadku przestępczości. Nocą, kiedy przypadał jego dyżur w pracy. Wiedzieli, że nie przyjdzie, przetrząsnęli wszystko. Pieniądze, tak, i znaczki. — Chciałby pan odzyskać te rzeczy, tak, rozumiem — rano ktoś z milicji zadzwonił przepaszając, że się nie przedstawia. Chodzi tylko o jedno — pan je zna — nazwisko.

Listonosz, ten państwowy, zadzwonił do furtki. Pozdrowienia. Uściski. Skargi na pogodę. Podłużny stempel ocenzurowano, na miejscu datownika, w górnym prawym rogu przykazywał decorum, miarę klasycyzmu, przez pomyłkę przybity na kwiecie za wodę.

O kierowniczej roli podsądnego świadczy notatka (karta jednaście) sporządzona przez niego własnoręcznie piórem, bez daty, ale jak wynika z okoliczności podanych przez świadka, między czternastym a szesnastym lipca.

Dziękuję za herbatę, będzie się już zbierał. Do wtorku, tak jak zwykle, chyba że coś wcześniej.

(Czas by już zmienić adres, tylko skąd wziąć nowy). Kot zajął na fotelu jego — ciepłe — miejsce.

Przestępcze działania (karty... gruba talia) składały się na ogół z drobnych ruchów, poszlak. Odebrać klucze. Oddać klucze. Kupić coś do jedzenia. Papierosy, z filtrem. Sprawdzić nowe mieszkanie, sąsiedzi, podsłuchy. Czy w piwnicy przypadkiem nie gości drukarnia.

(Po przeszło roku to płytkie podziemie przypominało raczej złożę odkrywkowe: bezradna gorączkowa bieganina mrówek pod uniesionym na ścieżce kamieniem). Dwa krótkie dzwonki, potem jeden długi. Skomplikowana symfonia sygnałów. Okupacyjne doniczki na oknach, usychające od upału hoje. Nici, ciągle wtykane pod framugę drzwi, jakby w ten sposób można je uszczelnić. Bezpieczeństwo, nici.

Dwa razy już zatoczył krąg najbliższych znajomych. I znajomych znajomych, kuzynów kuzynów. Wystawiał ich na próbę, zwał im na głowę. Bledli. I nie mogli uwierzyć. I nie będą ukrywać, że to nie na rękę. Przeciwnie, to na rękę, żeby ukrywali — zadzierzgał się supełek wykrętnych wyrażań. — Tak ciasno i sąsiedzi, wścibscy, spostrzegawczy. — Wakacje? Tak, nie pomysleli jakoś o wakacjach.

Aż wreszcie ktoś się zgadzał, wyjeżdżał, bezsenny, i z dużą na ramieniu a kulą u nogi.

Musieli ich namierzyć, od dawna. Czekali. Ten fiat, nikt nie dostrzegł, że zmieniał kierownicę. Fiat lux, poniewczasie, kiedy światło gaśnie. Czekali. Notowali. Pijak drzemał na ławce, mamrotał do butelki (karta dwadzieścia osiem: obserwacja, teren). W czerwonych kamizelkach, sumienni robotnicy przez tydzień się zmagali z niepokniętą rurą. Nikogo nie zdziwiło: nie zamknęli wody. Kominiarz strzegł ich z dachu, a z piwnicy pałac, który w środku lata zatęsknił do pieca. Gdzieś po przeciwnej stronie, w pasiaku żaluzji, ornitolodzy psuli sobie wzrok. Słońce im nakrapiało spracowane czoła: upierzenie plamiste, kwiczoł albo drozd. I nawet tramwaj, z tyłu, za ogrodem zataczał na nich swoją pętlę: sak.

Czy coś zaniedbał? Po raz pięćdziesiąty analizował ruchy, jak badacz owadów. Czułki i pancerz, i odnóża tnące. Nie, wszystko się zgadzało, Bóg świadkiem (odmówił zeznań, na karcie siedemdziesiąt siedem). Dziurawa, robaczywa entomologia.

CIĄG DALSZY NA STR. 8

Jehuda Amichaj

JOM KIPPUR

W Jom Kippur roku 1967 włożyłem
ciemne świąteczne ubranie i poszedłem na stare
miasto Jerozolimy.

Długo stałem przed wnęką sklepu Araba,
nieopodal Bramy Sychem, sklepu
z guzikami, zamkami i szpulkami kolorowych
nici, z zatraskami i kłamrami.

Jasne światło i mnogość barw jak w otwartej Arce
Przymierza.

W myśli mówiłem do niego, że i mój ojciec
miał taki sklep z guzikami i nićmi.
Wyjaśniałem mu w myśli okoliczności i wypadki
tych dziesiątków lat, że teraz jestem tu,
że sklep ojca tam, spalony, a on leży tutaj.

Kiedy skończyłem, modły dobiegały kresu
i on opuścił żaluzje i zaryglował drzwi,
a ja wróciłem z wszystkimi do domu.

Tłumaczył Tomasz Korzeniowski

Literacki Nobel 1995



Seamus Heaney

Fot. Jerzy Szot

Tegoroczny laureat literackiej nagrody Nobla od dawna jest wielką osobistością w świecie poezji anglojęzycznej, a przede wszystkim w swojej rodzinnej Irlandii, gdzie sławę zdobył już pierwszym tomikiem wierszy *Death of Naturalist* (Śmierć naturalisty) w roku 1966. Od początku jego poezja zachwycała umiejętnym połączeniem skupienia na drobiazgu, na codzienności, na rzeczach zwykłych i małych z uniwersalizującym i nasycającym wielkimi znaczeniami szerokim spojrzeniem. Kopanie torfu, zbieranie jeżyn czy patrzenie w starą studnię opisane przez poetę nabiera wartości wielkiego poznania świata, przemysłów kształtujących przyszłą dorosłość i uczącą sztuki dokonywania wyborów.

Od debiutu w roku 1966 pozycja Heaneya ciągle się umacniała, mimo, że jak to zwykle w podzielonym kraju, bywał krytykowany za pewne gesty interpretowane jako polityczne (na przykład przeniesienie się z Ulsteru do Irlandii) lub też za brak odpowiednich gestów (na przykład odmowę wyraźnego opowiadania się po stronie innej niż po prostu strona człowieka).

Oskarżenia o uchylanie się od odpowiedzi na wyzwania współczesności były reakcją na cykl wierszy poświęcony tak zwanym ludziom z bagien wypełniający głównie tom *North* (Północ, 1975): pochodzącym sprzed 2000 lat, w naturalny sposób znumifikowanym, ciałom wydobytych z torfowisk w Jutlandii. Jednak archeologiczny i, zdawałoby się, nie mający wiele wspólnego ze współczesnością temat pod piórem Heaneya staje się wręcz boleśnie bliiski. Noszące ślady zbrodni, a martwe ciała ludzkie sprzed tysięcy lat jest w tych wierszach spokrewnione z ciałami, które jeszcze nie ostygły, które świadczą o dokonanych właśnie teraz, właśnie tu, aktach przemocy i barbarzyństwa. Tak jak każdy szczegół codzienności może nauczyć nas czegoś o naturze świata i sposobach jej poznawania, tak każda ludzka śmierć uczy nas nie tylko prawdy o uniwersalności naszego losu, ale i o poglądach od tysięcy lat pozwalających na zadawanie cierpienia w imię celów uznawanych za wyższe niż człowiek.

Czytelnikowi polskiej poezji nie mogą być obce takie rozważania: podobnie jak irlandzka, nasza poezja także, a może bardziej, była zmuszana do udziału w polityce, Heaney potrafił w labiryncie sprzecznych racji odnaleźć ścieżkę mądrą i pewną. To nie idee i ideologie warte są naszego wysiłku i poświęcenia, ale człowiek: mały, pozornie nic nie znaczący, mielony na pył przez wielkie mechanizmy napędzające ten świat, Heaney, tak jak Szymborska, nie zgadza się na to, że „tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc”.

Heaney jest przenikliwym czytelnikiem współczesnej polskiej poezji. Sam mówi o tym, jak ważnym intelektualnym odkryciem było dla niego przed laty spotkanie z wierszami Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. Efekty spotkania z poezją środkowoeuropejską — odmienną, a zarazem często dziwnie pokrewną poezji irlandzkiej — odnaleźć można nie tylko w wierszach — przede wszystkim z tomu *The Haw Lantern* (Latarnia głogu, 1987) poświęconego rozważaniom nad odpowiedzialnością i powinnością człowieka — ale tak-

że w eseistycznej twórczości Heaneya. W tomie *The Government of the Tongue* (Rządy języka) poeta pisze o przeżyciu jakim było dla niego wysłuchanie przekładu wiersza Czesława Miłosza *Zakłęcie*, wiersza, który, wypełniony abstrakcyjnymi pojęciami, był zaprzeczeniem imagistowskiej — a więc obowiązującej w angielszczyźnie — teorii poetyckiej, a zarazem poruszał — jakby zgodnie z tą teorią — głębokie pokłady duszy, przyprawiał o dreszcz. Przykłady z poezji środkowoeuropejskiej są dla Heaneya świadectwem drogi, którą nie poszli poeci języka angielskiego, świadectwem, które każe zadawać sobie pytanie o prawomocność wyboru własnej drogi twórczej. Inny esej z tego tomu, poświęcony poezji Zbigniewa Herberta, pokazuje polskiego poetę jako Atlasa, który mimo przeciwności „podtrzymuje na swoich ramionach całe niebo i obszar ludzkiej godności i odpowiedzialności”. Eseje o poezji polskiej widzianej z irlandzkiej perspektywy stanowią bardzo interesujący wkład w dyskusję nad tej poezji uniwersalnością: ponadczasową i ponadgeograficzną.

Seamus Heaney udowodnia także uniwersalną wartość polskiej poezji renesansowej. Właśnie ukazały się w Londynie i Nowym Jorku przekłady na angielski *Trenów* Jana Kochanowskiego dokonane przez Noblistę oraz Stanisława Barańczaka. Podjęcie przez irlandzkiego poetę tak wielkiej pracy wymagającej z pewnością głębokich studiów najlepiej świadczy o sile fascynacji polską kulturą. Miejmy nadzieję, że *Laments*, których kilka jedynie mogli usłyszeć uczestnicy zeszłorocznego wieczoru z Heaneyem w krakowskim Dworcu Łowczego, ukażą się również w Polsce. To byłby świetny pretekst do ponownego spotkania z Heaneyem w Krakowie. A jeżeli taka okazja by nie wystarczyła, to może nie bez znaczenia okazałby się fakt, że ostatni tom wierszy poety *Seeing Things* z całą pewnością wart jest przełożenia na polski.

Magda Heydel

Camera obscura—monotematyczna

Pomieszczenie z poplątaniem

Podobno Wacław Borowy prowadził na powojennej polonistyce warszawskiej ćwiczenia z poetyki w ten sposób, że kazał studentom wyszukiwać błędy w pewnym wydanym wówczas podręczniku tego przedmiotu. Do tego samego celu, na zajęcia z historii literatury okresu międzywojennego doskonale nadawałby się artykuł Urszuli Zawila-Niedźwieckiej, ogłoszony w numerze 37 „Wiadomości Kulturalnych”, poświęcony historii „Wiadomości Literackich”. Mieczysław Grydzewski, pedantycznie sprawdzający daty i fakty, w grobie by się przewrócił, gdyby tę elukubrację o swoim piśmie przeczytał.

Idźmy po kolei: 1. Już na wstępie czytamy, że Grydzewski inscenizował „różne burdy i procesy sądowe”, by wywołać zainteresowanie piśmie — nieprawda: autorka potraktowała na serio to, co Słonimski i Tuwim ogłosili pt. „Dlaczego wystąpiliśmy z Wiadomości Literackich” na prima aprilis 1936 r. (Zwrócił na to uwagę już Mieczysław Kotłuk w liście do redakcji „Wiadomości Literackich”). Żeby było śmieszniej — tekst ten został przedrukowany w książce Słonimskiego i Tuwima pod wymownym tytułem „W oparach absurdu” (1958). 2. „Iwazkiewicz pisał o Conradzie, Żeromskim, Staffie” — nieprawda, o Staffie nie pisał (nb. stałych sprawozdawców literackich WL — Napierckiego, Zawodźnińskiego, Breitera autorka w ogóle nie wymienia); 3. „Rzadko pojawiała się na łamach WL muzyka (a jeżeli już, to za sprawą Iwazkiewicza)” — nie tylko Iwazkiewicza, od r. 1928 recenzentem muzycznym WL był Karol Stromenger. 4. „A jeszcze rzadziej film” — nieprawda, WL publikowały systematycznie recenzje filmowe Irzykowskiego, potem Słonimskiego, od r. 1929 prowadziła tu „Kronikę filmową” Stefania Zahorska, obok Irzykowskiego najciekawszy chyba krytyk filmowy dwudziestolecia. 5. „Wśród plastyków pupilami byli Malczewski, Gottlieb, Berezowska, Manteuffel” — nazwiska wybrane zupełnie przypadkowo — skąd, o tym dalej. Reprodukcyjne Berezowskiej pojawiły się

w WL zaledwie dwukrotnie. 6. „W końcu tego roku (1926) WL uruchomiły filię w Paryżu. Jest to wydawany z pomocą MSZ miesięcznik „Pologne Littéraire” — nieprawda, pismo ukazywało się w Warszawie. 7. „«Nasz Przegląd» — organ gminy żydowskiej — miał pretensje o nadmierne propagowanie kultury polskiej oraz dezercję części autorów od tradycji hebrajskiej” — nieprawda, „Nasz Przegląd” był polskojęzycznym piśmie o orientacji syjonistycznej, ale nie był organem gminy żydowskiej, nie miał pretensji do WL o propagowanie kultury polskiej, zarzucał ich współpracownikom pochodzenia żydowskiego nie odejście od tradycji hebrajskiej, ale postawę asymilatorską. 8. „Cenzura zdejmuję list zbiorowy o sprawie brzeskiej” — nieprawda, odezwa w tej sprawie w ogóle nie została uchwalona, bo odmówili jej podpisania Sieroszewski i Kaden-Bandrowski. 9. (Boy Żeleński publikuje) „w r. 1927 szkic o Mickiewiczu” — nieprawda, w r. 1928. 10. „Rok 1928 to początek kampanii o życie świadome” — nieprawda, początek tej kampanii przypada na r. 1929, a przy tym Boy prowadził ją nie w WL, lecz w „Kurierze Porannym”, gdzie ukazał się cały cykl „Pieśń kobiet”. 11. „Boy drukuje jeszcze *Porachunki fredrowskie*” — nawet tytułu jednej z najbardziej znanych książek Boya autorka nie potrafi poprawnie przepisać! 12. „Antykomunizm był w WL zwalczany zwłaszcza piórem Irzykowskiego” — piramidalna bzdura. 13. Boy „publikuje cykl szkiców o Prouście, a po nich *Marysięnkę Sobieską* — wręcz przeciwnie; najpierw opublikował *Marysięnkę*, potem *Prousta i jego dzieła*. 14. „W r. 1933 Boy został nagrodzony przez Polską Akademię Literatury” — nieprawda, nie został nagrodzony, lecz powołany został na członka PAL. 15. „W Polsce panuje ogromny kult wojska, w WL także” — nieprawda, autorka nie wie, że WL drukowały opowiadanie Niulowskiego *Dzień rekruta*, które wywołało oburzenie w sferach wojskowych, a i potem, w r. 1935 w związku z samobójczą śmiercią Konstantego Mikiewicza zamieściły jego listy oskarżające atmosferę koszar (pisał o tym Kazimierz Koźniewski w szkicu o WL zamieszczonym w *Historii co tydzień*). 16. „W r. 1937 nagrodę Akademii Niezależnych otrzymała Zofia Kossak za *Krzyżowców*, w 1938 Boy za *Marysięnkę Sobieską*, w 1939 Jerzy Andrzejewski za *Ład serca*. Akademia Niezależnych zyskała popularność, ponadto nagroda AN była o wiele wyższa od postnego wiktur rządowego” — włączy na gruszkę, jadł pietruszkę! Książki tu wymienione otrzymały nie Nagrodę Akademii Niezależnych, lecz nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich”, nie tak znów wysoką (500 zł). Porównanie nagrody Akademii Niezależnych z „postnym wiktur rządowym” Polskiej Akademii Literatury — jest w ogóle bezsensowne, bo PAL przyznawał nagrodę Młodych, a swoim członkom wypłacał tylko diety za posiedzenia, dość zresztą wysokie. 17. Wśród twórców rysunków i grafik umieszczanych w WL autorka wymienia Antoniego Sobańskiego, który jako żywo nigdy grafiką się nie zajmował.

Nie wymieniam już innych mniejszych przekręceń, naiwności i opinii spornych (np. że Schulz był w latach trzydziestych „dzięki swej prozie poetyckiej i grafice u szczytu popularności”, że „przejawem ówczesnego rozkwitu prozy polskiej są *Pawie pióra* Kruczkowskiego”), że w eseistyce WL „królowali Stanisław Ossowski i Stanisław Kot”.

W dodatku autorka napisała swój artykuł prawdopodobnie nie zaglądając nawet do numerów WL. Prawie wszystko, co w nim jest, wzięte zostało z przytoczonej pracy Koźniewskiego, tyle tylko, że Koźniewski żadnego z wyliczonych tu błędów nie popełnił. Po prostu p. Zawila-Niedźwiecka przepisywała tak nieinteligentnie, niechlujnie i nieuczciwie, że raz po raz coś pokręciła i poplątała, a nawet sądy Koźniewskiego pozmięniała na przeciwstawne. Artykuł nosi tytuł „Bez konkurencji”. W pewnym sensie — nie bez powodu. (hm)

KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY
dziękuje MINISTERSTWU KULTURY
I SZTUKI za pomoc finansową
przy wydawaniu DEKADY LITERACKIEJ

Łuk Heimito von Doderera

Obcowanie z książką zwykle kojarzy nam się z obrazem kogoś pojedynczego czytającego tekst w jakimś przytulnym kącie, w kręgu ciepłego światła lampy. Z pewnością zburzyć potrafi to wyobrażenie uczestnictwo w Targach Książki we Frankfurcie nad Menem, jednej z największych tego rodzaju prezentacji książek na świecie.

Polska prasa podawała rozmaite wielkości — około 9000 wydawnictw z prawie 100 krajów wystawiało ponad trzysta tysięcy tytułów (w tej ilości 2200 wystawców niemieckich). Prezentowana była też książka w innej postaci — multimedialnej, zapisana na cienkich jak opłatek krążkach CD-ROM-ów i innych mediów elektronicznych.

Od jakiegoś czasu to z mora tradycyjnych wydawców, zapowiedź rewolucyjnych zmian. Że jednak z tą nowoczesnością nie zawsze jest dobrze, jej możliwości niekoniecznie kojarzą się z rzetelnością i precyzją informacji, mogłem przekonać się oglądając tom historii współczesnej (wydawnictwa nie wymienię). Oto wśród ważnych wydarzeń roku 1938 pokazywano zdjęcie Masaryka, który zrezygnował z funkcji posła w Wielkiej Brytanii, protestując w ten sposób przeciw postanowieniom układu monachijskiego. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie drobiazg — portret Masaryka prezentowany na tle mapy II Rzeczypospolitej.

Co roku jakiś kraj czy literatura stanowi temat „wiodący”. Tym razem gościem honorowym była Austria, pokazująca na osobnej wystawie pamiętki po pisarzach — prócz tradycyjnych ekspozycji przygotowanych przez poszczególnych wydawców — w okrągłym, przeszklonym pawilonie na przestronnym placu między kilkunastoma wielkimi budynkami (bardziej zmęczeni goście 47. Frankfurckich Targów mogli przemieszczać się między nimi specjalnymi autobusikami), w których na trzech poziomach w halach wielkości sporego boiska sportowego kłębił się różnokolorowy tłum 320 tysięcy zwiedzających. Wśród tych osobliwości można było dostrzec czyjeś warkocze, liczne walizkowe maszyny do pisania, zdjęcia, świadectwa szkolne, rękopisy wierszy, plany wielkich powieści, podarty różowy podkoszulek czy bogato inkrustowany piękny łuk i kołczan Heimito von Doderera.

Nasz kraj wystawiał najnowszy dorobek edytorski w pawilonie trzecim, w dobrym punkcie — przy samym wejściu. Polskę prezentowało ponad 120 oficyn na zbiorczym stoisku, jak i — to bogatsi wydawcy — przy kilkunastu indywidualnych „standach”. Widać było naszą najmłodszą literaturę na osobnym regale, również czasopisma kulturalne, wśród których znalazło się miejsce dla „Dekady Literackiej”.

Trudno objąć taki ogrom zjawisk nawet gdyby zwiedzało się metodycznie targi dzień po dniu — od 11 do 16 października. Kto był spragniony autografu, mógł uzyskać wiele, spotykając się przy poszczególnych stoiskach z ludźmi pióra (na przykład szwajcarski Diogenes prezentował powieści Andrzeja Szczygiorskiego). Uwagę zwracały nowe powieści Włoszki Susany Tamaro, ostatnia, pośmiertnie opublikowana proza Dürrenmatta czy kilkutomowa, ekskluzywna edycja dzieł wszystkich Ingeborg Bachmann.

W roku przyszłym gościem honorowym na październikowych targach we Frankfurcie będzie Irlandia. Wydawcy spotkają się jednak wcześniej w wielu innych miejscach na świecie, m.in. w marcu na Targach w Lipsku (tu bohaterką ma być literatura polska, a wśród imprez zapowiadanych jest dialog między Güntherem Grassem, autorem głośnej w tym roku powieści *Rozległa ziemia*, a Tadeuszem Różewiczem) i na majowych targach w Warszawie.

Krzysztof Lisowski

W numerze 7 DEKADY LITERACKIEJ na str. 6 zabrakło z przyczyn technicznych podpisu pod fotografią: Janusz Bałdyga, Instalacja, IV Międzynarodowe Triennale Rysunku we Wrocławiu; Fot. Adam Lesisz. Autorów i Czytelników przepraszamy. (Red.)

Istnieć jak najdłużej w wymiarze tutejszym

Z JERZYM HORDYŃSKIM rozmawia Krzysztof Lisowski

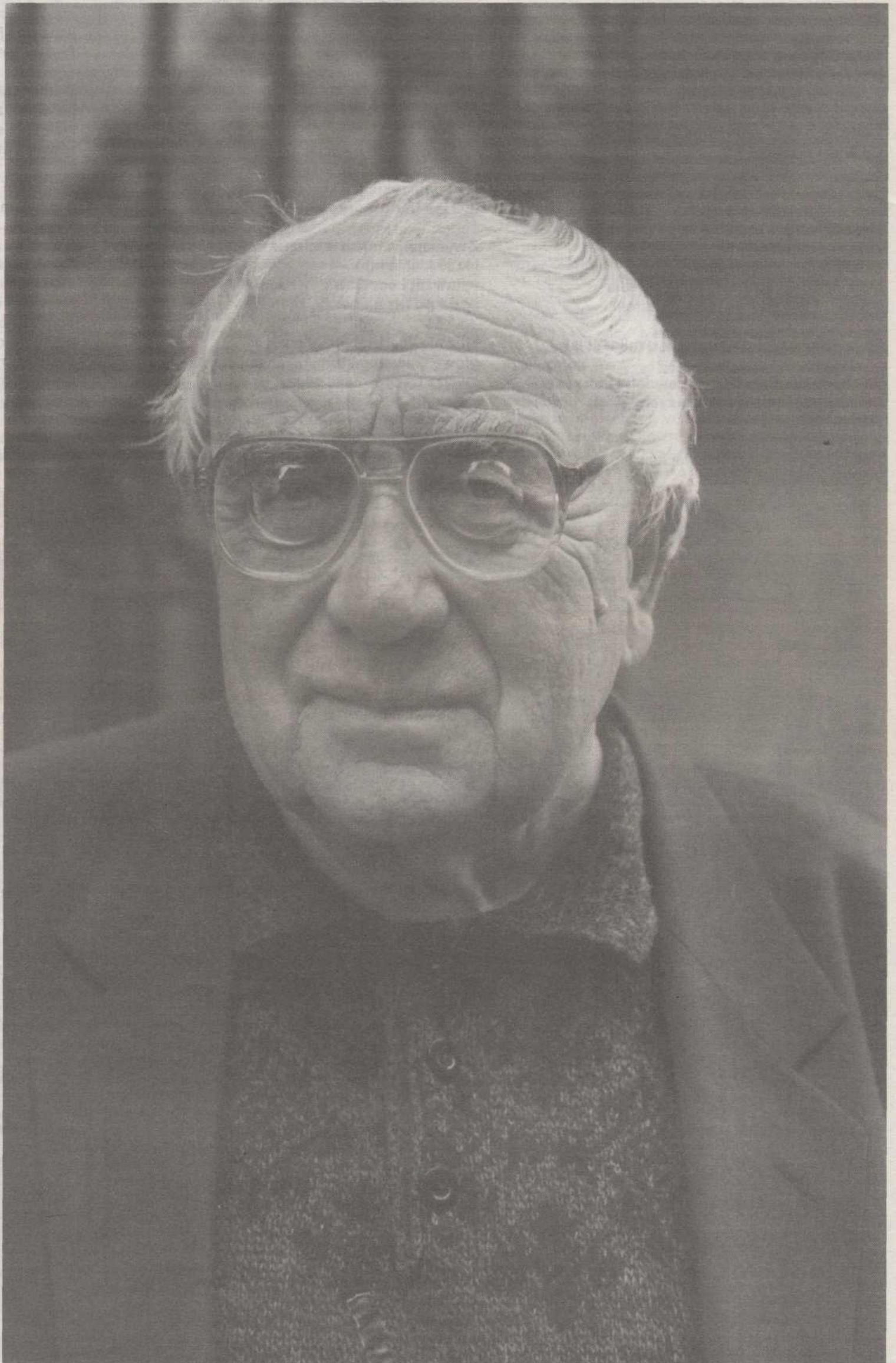
Zacznę od pytania „rozdrażniającego”. Otóż Piotr Kuncewicz, autor dwutomowego „Leksykonu polskich pisarzy współczesnych” tak opisuje Pańską twórczość: „(...) Własnością Hordyńskiego jest brak nadziei, brak poczucia sensu, brak pozytywów istnienia. Nazwano to «desperacjonizmem» (...) Jego twórczość bywa reportażem z artystycznych i kulturalnych uroków świata. Wiersz jest na ogół gładki, fraza harmonijna — może i za gładkie, i za harmonijne to wszystko”. Co pan na to?

Jeśli chodzi o pierwszą część, ów desperacjonizm, to już się z nim rozprawił Julian Przyboś, który właśnie twierdził, że we mnie nic nie ma z „desperacjonisty”. Ja myślę, że czytając książkę pana Kuncewicza można pograć się w uczucia desperacjonistyczne! Wiersz gładki? Przez długi czas konsekwentnie trzymałem się mego kanonu neoklasycznego, i zawsze byłem pod dużym wrażeniem muzyki klasycznej, chociaż cenię sobie również muzykę awangardową. Dla mnie strofa musiała b r z m i e ć, i wydawało mi się, że tego typu rozwiązania metryczne i formalne są w tym wypadku najlepsze. Ale nie we wszystkim zgadzałem się z tym kanonem, bo na przykład jestem zdecydowanym wrogiem śpiewanej poezji. Rozumiem, że ta tradycja rozwinęła się w Rosji, dlatego że Rosja jest spadkobierczynią Bizancjum i oczywiście tradycji greckiej. Homer śpiewał, inni śpiewali, potem nie wiadomo było ilu już jest tych Homerów. Ale ja uważam, że wiersz w ten sposób podany, gubi się. Wiersz, jeśli nie ma być bełkotem albo tylko librettem, musi brzmieć sam w sobie.

Swoje powojenne życie w pewnym momencie związał Pan z sublokatorskim pokoikiem w słynnym domu pisarzy przy Krupniczej 22 w Krakowie. Jak Pan wspomina ten okres? Jak Pan, „spokrewniony z Fredrą”, potrafił przyzwyczaić się do tych nader skromnych warunków bytowania?

Jedno małe sprostowanie: mieszkając we wspólnym, takim „kolchozowym” mieszkaniu, które kiedyś zajmowała rodzina Mortkowiczów, Olczakowa, pani Brzozowska, byłem głównym lokatorem! Każdy z nas był głównym lokatorem. Ja byłem zadowolony, że mam miejsce, gdzie mogę spać, gdzie mogę mieszkać, a poza tym najlepszym sposobem przyzwyczajania się do skromnych warunków jest obóz i więzienie sowieckie. Tam — bywało — że w małym pokoiku było nas sześćdziesięciu, w tym paru profesorów uniwersytetu, czasem się biskup zdarzał... Bez żadnych rzeczy, spało się na podłodze. Czyli dla mnie nawet najmniejsza własna dziupla stawała się rozkosznym rajem. Powiem więcej, był taki okres, że w Rzymie znalazłem się bez mieszkania, więc zatrzymałem się w jakichś najtańszych hotelikach i bywając dość często w muzeach watykańskich i widząc ogromną windę, która krążyła między parterem a górą, pomyślałem sobie, jak by to było pięknie, gdyby mi pozwolili w tej windzie spać. Naprawdę. Pod tym względem nie mam żadnych ambicji. Całe życie starałem się o to, żeby nie mieć pieniędzy, i to mi się doskonale udało. Zawsze gdy miałem do wyboru pieniądze i czas, wybierałem czas, tyle że konsekwencją tego wyboru bywało czasami lenistwo.

Mieszkanie w domu na Krupniczej wspominam z wielkim sentymentem. Przewijało się tam codziennie wielu ciekawych ludzi. Dziś w naszym dawnym klubie jest jakiś idiotyczny klub bilardowy, i nic się nie dzieje. A wtedy była tam atmosfera. Najpierw mieszkałem tam od strony dziedzińca, potem od ulicy. Coś pisałem sobie, a tu nagle Lidia, żona Kisiela, krzyczy: „Jerzy, u nas jest świeży bób. Schodź, będziemy jedli!” Tam się miało poczucie, że się jest w jakiejś dużej rodzinie. Nikogo nie obchodziło, czy ktoś jest pisarzem, czy cwaniakiem pisarskim, czy karierowiczem. No oczywiście z wyjątkiem tych ludzi, którym żaden szanujący się człowiek nie powinien podać ręki. Bo byli i tacy... *Nomina sunt odiosa*. Poza tym, gdy się wychodziło na dziedziniec, do którego przylegał ogród Mehoffera, gdy się słyszało stukanie maszyn do pisania, wiedziało się, że jednak



Jehuda Amichaj

W przekładach Tomasza Korzeniowskiego

JEHUDAAMICHAJ ur. 1924 w Würzburgu w Niemczech. w 1936 wyjechał do Palestyny. Podczas II wojny światowej walczył w Brygadzie Żydowskiej w Północnej Afryce i Włoszech. W Palestynie w okresie mandatu brytyjskiego brał czynny udział w działalności organizacji paramilitarnych na rzecz nielegalnej imigracji, był żołnierzem Palmachu walczącego o ustanowienie i niepodległość państwa Izrael. Ukończył Uniwersytet Hebrajski. Pracował jako nauczyciel w liceum. Mieszka w Jerozolimie. Debiutował w roku 1955 tomem wierszy *Achszaw uwejamin haacherim* (Teraz i kiedy indziej), za który otrzymał nagrodę Szlonskiego. Opublikował m.in. *Bemerchak sztej tikwoł* (Na odległość dwóch nadziei, 1958), *Achszaw beraasz* (Teraz w hałasie, 1969), *Welo almat lizkor* (Nie dla pamięci, 1971), *Hazman* (Czas, 1977), *Szalwa gdola: szeelot utszuwoł* (Wielki spokój: pytania i odpowiedzi, 1981), cieszący się dużym uznaniem poemat *Bagina haciburit* (W ogrodzie miejskim), a także utwory prozą i dramaty. W roku 1982 otrzymał prestiżową Nagrodę Izraela za twórczość poetycką. Przez krytykę uznany za najwybitniejszego współczesnego poetę Izraela. Jego wiersze przekładane są na około 29 języków.

RĘKA BOGA WE WSZECHŚWIECIE

1.

Ręka Boga we wszechświecie
jest ręką matki we wnętrzu zarzęniętego kura
w wieczór przed szabatem.
Co widzi Bóg za oknem
kiedy jego ręce zanurzone w świecie.
Co widzi matka.

2.

Mój ból jest już stary:
zrodził dwa pokolenia
cierpień podobnych jemu.
Moje nadzieje wzniosły białe osiedla
z dala od tego co we mnie ciężarem.

Moja dziewczyna zapomniała o miłości jak
o rowerze
na chodniku. Całą noc na zewnątrz i na rosie.
Dzieci spisują dzieje mego życia
i dzieje Jeruzalem
kredą księżycy na jezdni.
Ręka Boga we wszechświecie.

MŁODY DAWID

Po pierwszych owocach
powrócił Dawid do wszystkich młodzieńców,
i już pobrzękujący zbrojami
byli tak bardzo dorośli.

Z wymachiwaniem ramion, z ochryplym śmiechem.
I ktoś kłął, a inni
spluwali. Lecz Dawid był sam
i czuł po raz pierwszy, że nie ma więcej Dawidów.

I już nie wiedział gdzie położyć
głowę Goliata o której jakoś zapomniał
i wciąż trzymał ją za włosy.

Był teraz ciężki i niepotrzebny.
I ptaki krwi, które wędrowały z daleka
już nie słyszały, jak on, krzyczącego ludu.

W ŚRODKU TEGO WIEKU

W środku tego wieku zwróciliśmy się ku sobie
profilami i obojgiem oczu,
na chwilę, jak na starym
egipskim fresku.

Pogladziłem twe włosy w stronę przeciwną do
jazdy,
wołaliśmy się nawzajem,
jak się czyta nazwy miast wzdłuż drogi, gdzie nikt
nie mieszka.

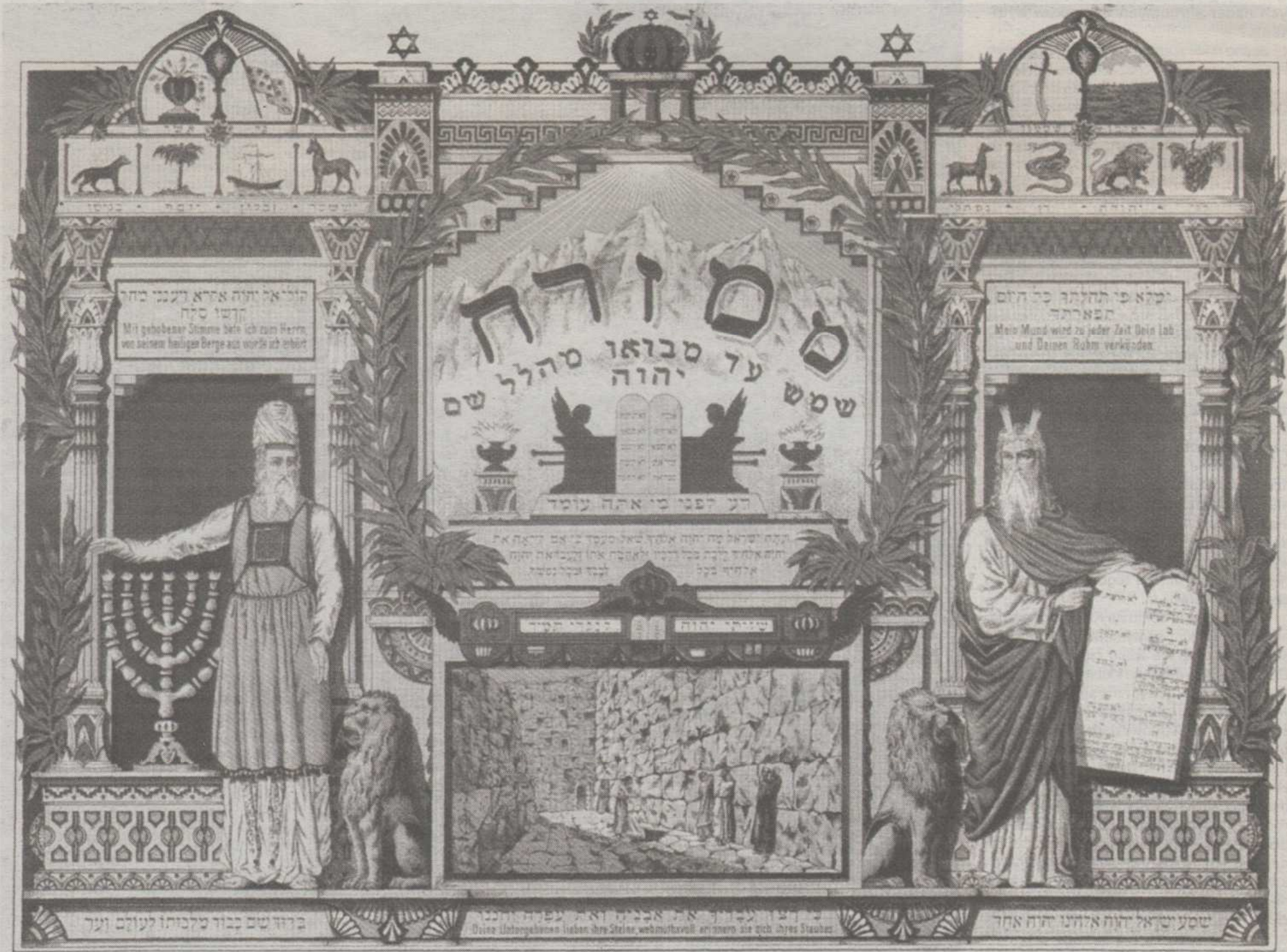
Piękny jest ten świat wstający ku złu,
piękny jest ten świat śpiący w grzechu i łasce,
jesteśmy jak splot jednej tkaniny, ty i ja.
Piękny ten świat.

Ziemia spija ludzi wraz z ich miłością
jak wino, aby zapomnieć. Lecz nie zdoła.
I jak linia szczytów gór judzkich,
również my nie znajdziemy spokoju.

W środku tego wieku zwróciliśmy się ku sobie,
widziałem twoje ciało, rzucające cień, czekające
mnie.

Skórzane pasy w długiej podróży
rozciągnęły się już na mej piersi.
Mówiłem chwaląc twe biodra śmiertelne,
mówiłem chwaląc moją twarz co przemija,
pogladziłem twe włosy w stronę jazdy,
dotknąłem zwiastuna twego końca,
dotknąłem twej ręki, która nigdy nie spała,
dotknąłem twych ust, które może tedy zaśpiewają.

Pustynny kurz pokrył blat stołu,
na którym nie jedliśmy.
Lecz palcem wypisałem tam litery twego imienia.



Józef Hen

Cenzor, mój czytelnik



W ustroju totalitarnym cenzura jest niepotrzebna: cenzorem jest redaktor. Podobno (nie ręczę za to) nie było cenzury w Bułgarii i nie było w Niemczech hitlerowskich. (Dlatego mogło się zdarzyć coś tak niezwykłego jak to, że w roku 1940 w Monachium ukazały się *Dzieje Bizancjum* napisane przez rezydującego w Belgradzie emigranta Ostrogorskiego, światową znakomitość). Cenzura redaktorów we wczesnych latach pięćdziesiątych wydawała mi się gorsza od oficjalnej: z tą przynajmniej było wiadomo, o co chodzi, były zapisy, przypisy, paragrafy. Chociaż i tu zdarzały mi się niespodzianki. Już w połowie lat osiemdziesiątych — tak, tak! — dowiedziałem się ze zdumieniem, że nie mam prawa napisać „Berlin Wschodni”: jest tylko „Berlin Zachodni” lub po prostu „Berlin”. Nie pozwolono mi też, w powieści *Milczące między nami*, użyć słowa „aparaczek”, musiałem zgodzić się na „działacza”, inaczej książka by nie wyszła. W trzy lata później (w 1988 r.), w drugim wydaniu, przy tej samej cenzurze, wszystkie te zakazy nikogo już nie obchodziły.

Redaktorzy otrzymywali, oczywiście, wskazówki, ale najgorsze było to, że przejęci służeniem Sprawie — m y ś l e i. Kiedy ktoś powiada o kimś, że to człowiek „myślący”, niewiele mi to mówi — można myśleć bowiem mądrze, można i głupio. Najbardziej niebezpieczny gatunek człowieka to myślący głupiec.

Muszę tutaj, gwoli sprawiedliwości, wnieść zastrzeżenie, że ci ludzie, redaktorzy czasów stalinowskich, niekoniecznie byli głupcami, zgłupieli tylko okresowo i jakby na własne życzenie. Weźmy np. takiego Adama Bromberga, nieżyjącego już znakomitego organizatora PWN. Co za horrendealne głupstwa ten człowiek wypowiadał jako dyrektor wydawnictwa MON, omawiając maszynopis mojej (niezbyt zresztą udanej) powieści!

Albo Marceli Reich-Ranicki, redaktor w tymże wydawnictwie — jakie bzdury ten powypisywał w swojej książce o współczesnej, „klasowo słusznej” literaturze niemieckiej! A w dziesięć lat później — mędrzec, „papierze” krytyki niemieckiej itd. w co, oczywiście, też musimy wierzyć na słowo.

Żeby o tych sprawach mówić, muszę — trudno, nie da się inaczej — powiedzieć kilka słów o sobie ówczesnym. Proza była dla mnie, wstępującego w tę profesję, opowieścią o przygodach ludzi, o tym, się z nimi działo, co przeżywali. Nie walczyłem z socrealizmem, pisałem o b o k, po prostu o tym, co mnie interesowało. (Zdawałem sobie sprawę, że pewne tematy są zakazane, że muszę z nimi zaczeć). Śmieszyl mnie postulat „bohatera pozytywnego”, „typowości” i pokazywania „kielek nowego”, czyli właściwie krainy fikcyjnej (jeszcze nie science fiction). Chciałem pisać „normalnie”: w końcu Maupassant, London i Czechow pisali całkiem dobre opowiadania nie znając socrealizmu. Praktyka okazała się jednak trudna. Nigdzie nie mogłem wydrukować opowiadania *Krzyż Walecznych*, które napisałem w lutym 1953 r. Z „Nowej Kultury” otrzymałem podpisany przez Wilhelma Macha list, że koledy wypowiedzieli się przeciwko temu opowiadaniu ze względu na jego „nastroj minorowy”. Obowiązywała już radość, twórczy optymizm i Adolf Rudnicki musiał na lat kilka zamilknąć. Warto zwrócić przy okazji uwagę na rolę „kolegów”: redaktor chętnie się na to ciało powoływał, kiedy chciał uniknąć kłopotliwego druku.

Pikantna wydaje mi się przygoda z opowiadaniem *Wielki Bieg Deptały* (maj 1953). Jest to historia, autentyczna zresztą, wiejskiego sportowca, który wrócił po wojnie ze Szwecji ze sławą, rozdmuchiwaną przez polujących na sensację dziennikarzy, pogromcy biegaczy szwedzkich. Opowieść o mitomanii sportowej, zjawisku dość częstym, zakończona dramatycznie, bo w biegu, na który cała, żądna sukcesów sportowych Polska czekała. Ów W., czyli mój Deptała, został wielokrotnie zdublowany. A jednak było w tym zmaganiu z własną bezzia coś przejmującego: samotny długodystansowiec, obrzucany wyzwiskami i butelkami, kończył w mroku bieg — nie zszedł z biegni! Byłem tego świadkiem. Opowiadanie to, tłumaczone później na wiele języków, drukowane przez miesięcznik „Olympisches Feuer” w dwóch kolejnych numerach (dzięki czemu zostałem zaproszony na olimpiadę w Monachium) — odrzucono najpierw w „Naszej Księgarni”, dokąd je zaniósłem, pewny, że proponuję coś wychowawczego. Panie

się sprzeciwili: chłop nie powinien marzyć, chłop ma być rzeczowy. Myślę, że w przypadku obu tych opowiadań oficjalna cenzura byłaby bardziej liberalna.

W ogóle, marzenie wydawało się ideowym paniom czymś podejrzanym. Byłem wciąż w wojsku, pracowałem w tygodniku „Żołnierz Polski”, najpierw w Krakowie, od 1947 r. w Warszawie. Z wojska się nie zwalniałem, bałem się życia w „cywilu” — bez pieniędzy, bez mieszkania, bez krewnych, bez znajomości, przyjaciół, bez-partijny. To, na czym mi w mojej pracy redakcyjnej najbardziej zależało, to żeby czytelnik się tak potwornie nie nudził i nie męczył czytając agitki. Przetłumaczyłem urocze opowiadanie Paustowskiego *Pastuszek*: pisarz w szuwarach gdzieś w górnym biegu Wołgi spotyka 10-letniego chłopca, który opowiada mu, że posłał list do ojca w obłożonym Stalingradzie: „list dojdzie?” — pyta pisarz, „no, pewnie — odpowiada chłopiec — posłałem pocztą butelkową, jak rozbitkowie na morzu — chyba pan słyszał o poczcie butelkowej?” Już z kolumny zdjęła mi opowiadanie pani Helena Zatorska (w randze majora) tłumacząc mi ze słodyczą: „Nie powinniśmy pokazywać radzieckiej młodzieży rozmarzonej”. Ma to więc być młodzież twarda, bezlitosna, dziecko powinno oceniać świat oczyma materialisty (dziejowego). Znałem dziewczynkę, którą rodzice, ideowi komuniści (byli wtedy tacy) chronili przed czytaniem bajek. Pamiętam, jak namawiałem, bezskutecznie zresztą, panie z „Naszej Księgarni” do wydania zapamiętanego sprzed wojny *Kajtusia Czarodzieja* Korczaka. Świat baśni był zabroniony. Ale chyba nie przez cenzurę?

Opowiem teraz o czymś, co ma tylko luźny związek z tematem, ale chyba nieźle oddaje przedziwność czasów, a także dramatyczność niektórych losów. Późną wiosną 1949 r. pojechałem z wycieczką chłopską na Ukrainę. Wybrańcy, między którymi — trzeba to odnotować gwoli sprawiedliwości — byli także zamożni gospodarze, mieli przyjrzeć się gospodarce kolektywnej. O samej wycieczce może warto napisać szerzej przy innej okazji. Teraz mówimy o cenzurze redakcyjnej. Napisałem m.in. krótki reportaż z przedsiönka uniwersytetu kijowskiego. Stoję przed tablicą ogłoszeń i usiłuję domyślić się przeżyć ludzi, których nazwiska tam figurują. Maja Błękitna, była partyzantka, ma same piątki, za to Tania biedulka zlapała dwójkę i musi przejść przez jeszcze jeden egzamin. Czy go zda? Czy nie jest ofiarą lęku przed egzaminacyjnego?

Zaufaną redaktorką wydawnictwa MON była przed Zatorską major Stanisława Sowińska, adiutantka Spychalskiego w AL, autorka interesujących wspomnień *Lata walki*. Wezwała mnie do siebie. Pochwaliła reportaż, owszem, ale zażądała, żebym usunął fragment o Tani, która dostała dwójkę. — Dlaczego? — spytałem. — Nie będziemy przecież wspominać o radzieckiej studentce, która dostała dwójkę. Po co? — Ale Maja dostała piątkę i to się wyrównuje — tłumaczę. Podniosłem nawet głos: — Jeśli chcemy, żeby czytelnik uwierzył autorowi, musi być także dwójka! Pani major była niewzruszona. — Proszę wykreślić! — Nie wykreślić! Było to głupstwo, ale ten brak profesjonalizmu, brak wyobraźni na czytelnika doprowadzał mnie do wściekłości.

— To artykuł nie pójdzie! — zagroziła. — To niech nie idzie! Pani była majorem, a ja porucznikiem, mimo to ja, niesubordynowany, krzychałem głośniejsz niż ona. Nagle powiedziała: — Mieliszmy was wysłać na festiwal młodzieży do Budapesztu, zamiast was pojedzie towarzysz Flisowski! Nie był to cios tak wielki jak się spodziewała: nie jest ciosem, kiedy tracimy coś, o czym nie wiedzieliśmy, że to mamy.

Zbyszek Flisowski, kapitan czy już major, były oficer AK — i choćby dlatego ukochanie polityków MON — bardzo szybko awansował. On pojechał do Budapesztu, a ja — uzgodniwszy to z żoną — do Juraty (też niezła miejscowość) — żeby na miesiąc zejść im z oczu i uspokoić skołatanę nerwy. Kiedy wróciłem do Warszawy, zastałem numer z Dzierżyńskim na okładce (obraz pędzla Jerzego Janowskiego) i zrozumiałem, że zaczęło się coś nowego. Miałem tylko tę satysfakcję, że bez mojego udziału.

A oto, co się wydarzyło potem. Chyba w pół roku później zaarrestowano Flisowskiego. Oskarżenie było perfidne: miał rzekomo współpracować z gestapo. W śledztwie był bity, stracił słuch w jednym uchu. Jego młodzianka przystojna żona, ide-

owa ZMP-ówka, natychmiast zażądała rozwodu, nie będzie przecież żoną agenta gestapo, i dostała go. Zbyszek w ciągu tych lat przebywania w więzieniu nie wiedział, że nie ma już żony. Te sfanatyzowane kobiety (jak świadczą liczne pamiętniki, np. *Strome ściany* Natalii Ginsburg, czy *L'aveu* Arthura Londona, jednego z oskarżonych w procesie Slansky'ego) wierzyły raczej w to, że kochały i tuliły w swoich ramionach wrogów, niż że partia mogła się mylić. (Ten motyw, żony Zbyszka Fl., później historyka-marynisty, powrócił w mojej sztuce *Justyn!*).

Jeszcze kilka miesięcy minęło — i zaarrestowano Spychalskiego, a wraz z nim — jakże inaczej — jego adiutantkę z czasów wojny, major Sowińską. Z nas trojga, którzy byliśmy wciągnięci w sprawę dwójki nieszczęśliwej Tani (gdymyż wiedziała!), na wolności zostałem tylko ja, człowiek z boku. Minęło kilka lat, był rok 1956, już odwilż, chociaż może przed Październikiem. Zebranie oddziału warszawskiego Związku Literatów. W przerwie zbliża się do mnie — kto? pani Stanisława Sowińska, już teraz, dzięki swoim pamiętnikom, literatka. I od razu pyta: „Pamięta pan nasz spór?” Pamiętałem: „Często myślałem o nim w więzieniu. Myślałem o tym, jak bardzo miał pan rację. — I po chwili kiwając głową: — Ale ze mną była idiotką!” Objęliśmy się. Nieczęsto się zdarza, że kogoś tak wspomnienie męczy — i to w więzieniu. (A może właśnie w więzieniu jest czas na refleksję). Wspominam to jej zwierzenie ze wzruszeniem. I nie bez pewnej dumy.

Zawsze uważałem, że cenzurze, tej urzędowej, nie należy ułatwiać życia. Nie wolno jej wyręczać, trzeba stawiać przed nią zadania, może uda się przekroczyć jakąś nową barierę. Wychodziłem z założenia (które nie wszyscy podzielali), że i tam pracują ludzie, a nie bezduszne automaty. Pamiętam, było to w Oborach, rok 1959, pewna koleżanka zapytała mnie, co właśnie piszę. Pisałem *Kwiecień*. Kiedy jej w kilku zdaniach opowiedziałem, o czym to jest, ona na to: „Pan chyba zwariował”. Powieść jednak wyszła, została książką roku w plebiscycie czytelników „Kuriera Polskiego”. A jednak to ta koleżanka miała w końcu rację, bo trochę później panowie moczarowcy zaatakowali *Kwiecień* w „Żołnierzu Wolności” i zamrozili go na 14 lat, a ich ideowy obercenzor, płk Zbigniew Żaluski, ostro zaatakował film. To wtedy MON zastrzegł sobie, że każda książka dotycząca wojny, i to wcale nie ostatniej, musi mieć wojskową aprobatę, a każdy krajowy kryminał — aprobatę MSW. To nie żarty! *Iliada*, *Wojna i pokój*, a pewnie i *Trylogia* — poddane ich kryteriom pewno by nie przeszły. A już na pewno nie bitwa pod Waterloo z *Pustelni Parmeńskiej*. Były to najbardziej groteskowe czasy w przemiennych bądź co bądź dziejach cenzury, do czego przyczyniał się także sam Gomułka osobiście ingerując i ustalając okresowe zapisy. Przypominam sobie, że w eseju o Lwie Tolstoju pt. *Opinie z Jasnej Polany*, który zamieściłem w tygodniku „Świat”, usunęto fragment mówiący o sprzeciwie pisarza wobec kary śmierci; akurat Gomułka miał ochotę wieszać oskarżonych w procesie „mięsnym”. Po wojnie szczęśliwie usuwano, rzecz prosta, każdą wzmiankę, że ktoś z bohaterów serialu jest Żydem (chyba, że była to notoryczna świnia), tak więc tłumacze telewizyjni gymnastykowali się, żeby nie ujawnić, że jeden z policjantów Kojaka był właśnie Żydem, trwało to, już chyba bez nakazu z góry, prawie do końca PRL, ponieważ ci panowie byli szczerymi antysemitami i robili swoje con amore.

Powieść *Nikt nie woła* pisałem w latach 1956-7 nie oglądając się na cenzurę. Gdybym ukończył ją kilka miesięcy wcześniej, przed zamknięciem „Po Prostu”, może by się ukazała. Potem było za późno. Na jej wydanie czekałem 33 lata. Opowiadania z cyklu *Oko Dajana*, pisane w latach 1969-1971, były już pisane poza cenzurą, posyłałem je, nie bez trudności, do paryskiej „Kultury”, gdzie drukowano je pod pseudonimem „Korab”. Ukazały się po francusku u Laffonta, ale też pod pseudonimem. Nie miałem złudzeń. Marzyłem o dniu, w którym ukażą się pod moim nazwiskiem w Polsce. Stało się to w 1990 r.

Jeszcze o jednej ważnej sprawie: o „zapisie” osobowym. Wiedziałem, że niektóre represje spotykają mnie z powodów czysto personalnych, nie domyślałem się jednak, jak głęboko to sięgało. Czasem tego nie ukrywano. Michał Sprusiński mnie uprzedzał: „Uważaj na siebie; czytał (jakiś ON, chyba Łukasiewicz) spokojnie nazwiska tych, którzy podpisali protest „konstytucyjny”, ale przy twoim rozwrzeszczał się”. W tygodniku „Literatura” miano drukować fragmenty mojej książki o Montaigne'u, pierwszy odcinek przeszedł już przez cenzurę, kiedy nagle góra zadysponowała, że nie wolno „robić mi festiwalu” (ulubione ich słowo) — i mój „Montaigne” został usunięty. Dopiero z raportu p. Strzyżewskiego, który wywiózł dokumenty cenzury za granicę, dowiedziałem się, że znajdowałem się na liście tych kilkunastu groźnych postaci z literatury, których nazwisk nie wolno wymieniać bez zgody odpowiedniego sekretarza KC, chyba że w kontekście negatywnym.

Prócz „czarnych” list, były też listy „różowe”, literatów, których zalecano popierać i wydawać. Układające tych list żyją, ale woła jakoś o nich nie wspominać, czemu się nie dziwię.

Dzieje cenzury oficjalnej mamy za sobą. Nieoficjalna wraca raz po raz, a także ta partyjno-redaktorska, na którą czasem się natykam. Nie jest to groźne, dopóki taki ideowy redaktor nie ma monopolu na określanie, co słuszne, a co nie, i nie decyduje o doborze nazwisk. Ale to zupełnie inny temat, nowy. Idzie o tamtą cenzurę, tę minioną, której dzieje były wcale burzliwe. Można je relacjonować anegdotycznie, z humorem, można na ponuro, bo i na to zasługują. Chyba w tej relacji najlepiej trzymać się środka.

Istnieć jak najdłużej w wymiarze tutejszym

DOKOŃCZENIE ZE STR 3

ktos coś w tym domu robi. Mnie przyszło na myśl, że było intencją władz skupić wszystkich pisarzy, żeby mieć nad nimi lepszą kontrolę, ale przyznam szczerze, że się tej kontroli nawet nie zauważało. Na dole istniał klub — można było zjeść obiad, można się było spotkać, i tam bywało rzeczywiście wielu ludzi o bezsprzecznie znakomitym talencie. Zaraz każą mi wymienić Mroźka, i słusznie. Bo to jest bardzo wybitny twórca! Gdybyśmy obaj nie wyjechali, byłibyśmy dotąd sąsiadami. Ile razy byłem w Paryżu, dzwoniłem do Sławka. Wtedy on mówił: „Zaczekaj, bo mi się kasza przypalił!” Czyli że te sentymenty przetrwały, zostały. Zresztą, do tych sentymentów zaliczyć należy dowód klasyczny, bezpośredni: to że ja nie zerwałem z tym domem i że uporczywie trzymałem się tego pokoju, i tego miejsca na ziemi, jakby powiedział Przybos. To świadczy o tym, że jakoś sobie cenię to miejsce, bo w końcu mogłem sobie później znaleźć jakieś przyzwoitsze mieszkanie.

Potem podróżował Pan po paru krajach, mieszkał tam, studiował, zwiedzał. Wreszcie osiadł w Rzymie, nie tracąc nigdy kontaktu z Krakowem, jego pismami. Zakładał Pan podobno „Żywotki literackie” w tygodniku „Życie Literackie”. Współpracuje Pan od dawna z „Przekrojem”, pisując o nowościach i sensacjach z wielkiego świata włoskiej kultury...

Tak, tak, naturalnie, ja to robię z przyjemnością. Dlaczego? Dlatego, że od wczesnego dzieciństwa paralem się dziennikarstwem kulturalnym, a więc naturalnie rzecz miała wymiar polski, jakieś festiwale... Na czym mi zależało? Gdy się znalazłem trochę na wariackich papierach na Zachodzie, i tylko jakaś moja żelazna autodyscyplina pozwalała mi to przeżyć (od czasu do czasu miałem tam jakieś stypendia), absolutnie nie chciałem się zdegradować. Nie chciałem być tą przysłowiową lekarką, która w wielkich metropoliach myje schody. Wszedłem dość łatwo w kręgi intelektualne i artystyczne — Włosi interesowali się tym, co się dzieje w Polsce, mogłem rozmawiać z nimi z pozycji człowieka, który ciągle w tym powołaniu artystycznym jakoś tkwi.

Ostatnie pobyty Pana w kraju są coraz dłuższe. Obecny zaowocował czterem bodaj w Pana dorobku poetyckim tomem *Seans*, opublikowanym przez Wydawnictwo Literackie...

Dla mnie było niezwykle, ogromnie satysfakcjonujące, że ten tom ukazuje się u wydawcy, z którym od lat współpracuję, wiedząc jak tragiczna jest sytuacja z wydawaniem poezji. Jeśli przechodzi się na kryteria inne niż czysto artystyczne, szans na publikację wierszy w ogóle nie ma! Ucieszyłem się, że WL zechciało tomik wydać, tym bardziej, że nie odbyło się to bez „biegu z przeszkodami”, bo okazało się najpierw, że nie ma wydawców dla mojej książki w Polsce, a potem nagle jest dwóch, i w tym jeden pragnący wydać te wiersze bez mojej wiedzy i zgody!

Czy jest to Pana zdaniem tom rozliczeniowy, doprowadzający do finału pewnej wątki tego poezjopisarstwa?

W pewnym sensie każdy z tomików jest jakimś rozliczeniem z okresem, który minął. W tym wypadku do niedawna ukrywałem swój wiek. Nawet teraz, kiedy wreszcie bohaterstwo zdecydowałem bez żadnych oporów podać rok swego urodzenia, czarująca moja znajoma, znakomita skrzypaczka Hanka Drewnowska, żona wielkiego zresztą pianisty Marka Drewnowskiego powiedziała na festiwalu, w którym uczestniczyliśmy niedawno: „O Boże, Jerzy, to ja nie wiedziałam, że ty jesteś taki stary!” I żałowałem, że przynajmniej jeszcze raz nie oszukałem własnej daty urodzin. Ale trzeba się było na to kiedyś zdecydować. W jakimś sensie w tym zbiorze jest

z a m y k a n i e pewnych rzeczy, ale myślę, że jeszcze parę furtek nie zamkniętych mi zostało, a w najgorszym razie nawet z zamkniętego mieszkania można uciec przez okno. Jeżeli nie jest za wysoko...

Dostrzegam w tej książce jak zawsze u Pana pomieszanie pewnego rodzaju melancholii, łagodnej eschatologii z dobrotną ironią i prawdziwym, choć nieco skrywanym humorem, Jakby poeta trochę żartował ze spraw najpoważniejszych, jednocześnie pokazując ich drugie dno, te cechy egzystencji, które sprawiają, że warto żyć, uczestniczyć w dalszym ciągu tej Przygody.

Tak jest. Kocham życie, mój stosunek do życia jest jednak bardzo biologiczny. Ja czuję się częścią tego wszystkiego, co się dzieje. Naturalnie nie chcę tu prymitywizować sytuacji, nie chcę zestawiać słońca z małą szkatułką, w którą kiedyś mnie włożą. Trzeba jednak przez to wszystko przejść, istnieć jak najdłużej w wymiarze tutejszym. Zawsze tego chciałem, choć przeszedłem przeciwieście rzeczy upiorne, już nie będę tu mówił więcej o mojej martyrologii — wszyscy wiedzą jak wyglądały obozy sowieckie, więzienia, w ogóle sama okupacja, konspiracja, kiedy w każdej chwili mogliśmy być rozstrzelani — ale to właśnie dawało życiu wartość, chciało się żyć. I to mi pozostało. Jestem szczęśliwy, że jeszcze jako tako funkcjonuję, ruszam się, jako tako myślę. Powiem więcej, jakoś nie mam ochoty do pisania testamentu, bo i tak nie wiem komu bym co zostawił.

W niedawnej recenzji porównywałem ten zbiór z tomami Iwaszkiewicza i ostatnimi realizacjami Miłosza. Chodziło o pokrewne motywy akwatyjne czy piękną sensualność, jak w szokującym tu zmysłowością wierszu *W Zakopanem, wspominając*. Co właściwie zdarzało się Panu w Zakopanem?

Rzeczy cudowne, które na pewno nie nadają się do szczegółowego opisywania, chociaż — myślę — wtedy szybko bym znalazł wydawcę. To była jakaś euforia, z jednej strony niesłychana potęga gór, wspaniałość pejzażu, z drugiej strony stada wspaniałych dziewcząt. No, inna rzecz, że może wtedy mój gust był bardziej... liberalny. Później wyżej nastawiłem poprzeczkę, gdy zobaczyłem niezwykle urodziwe Włoszki. Można powiedzieć w sposób dość dokładny. Ale naprawdę to są jakieś niezwykle piękne przeżycia i szkoda, że odchodzą właściwie w sferę wspomnień. Cóż zrobić, ale jak mówi stare porzekadło: „Zawsze bardziej żałuje się tego, że się nie grzeszyło, niż tego, że się grzeszyło”. W każdym razie była to jakaś inspiracja poetycka i myślę, że jeśli na Sądzie Ostatecznym będzie jakiś adwokat, bo przecież w każdym sądzie jest, uzna to za okoliczność łagodzącą.

Proszę powiedzieć, jak postrzega Pan z rzymskiej i teraz tutejszej perspektywy stan poezji i w ogóle literatury polskiej. Kogo Pan lubi, czyta, nie znosi?

Niestety nie mam pełnego obrazu, tylko wyrwykwy, bazujący głównie na czasopiśmie kulturalnych, docierających do dwóch instytucji w Rzymie — od niedawna do Instytutu Kultury Polskiej i do biblioteki PAN. Natomiast bardzo mało jest egzemplarzy tomików poetyckich, po prostu nie dochodzą te rzeczy. Dawniej bywało tak, że ktoś coś tam przysyłał, nawet z paru wydawnictwami pozostawałem w cudownych stosunkach.

Przyznam się, że naprawdę mnie drażniła zbyt daleko posunięte eksperymenty, tym bardziej, że ci którzy kiedyś eksperymentowali zwracają nagle. Identycznie jest w muzyce — najpierw był jazgot piekielnie nowoczesny, a teraz wszystko się uspokoiło i kompilatorzy, sięgający po stare teksty, stare partytury, mają największe wzięcie.

Powiem zupełnie szczerze: dla mnie największym poetą był i pozostał Miłosz. Pamiętam, że się nawet żarłem z Wierzyńskim, który chciał we mnie wmówić, że na pewno nie znam żadnego wiersza Miłosza na pamięć. Wtedy zacząłem recytować, bo kiedyś miałem rzeczywiście świetną pamięć do wierszy. Równie niezwykle ważnym poetą wydaje mi się Zbigniew Herbert. Są w jego dziele trzy elementy, które zawsze wysoko ceniłem: czuje się duże zaplecze kultural-

ne, jest ogromna klarowność słowa i to, że on w tym wszystkim — czy na dobre czy na złe — potrafi się umiejscowić. Naturalnie pewne wątki przedwojenne czy wojenne nie są w dzisiejszej poezji kontynuowane, chociażby nikt dzisiaj nie korzysta z doświadczeń Przybosia (uważam Przybosia za dużej klasy poetę). Ale również poeci, których zaczęto tu i tam lekceważyć, nadal są dla mnie ważnymi poetami. Mam na myśli Gałczyńskiego. U niego lśni wszystko, cygańska poezja też może być wspaniała! Czytam też młodych, z mieszanymi uczuciami. Nie chcę tu wystawiać żadnych cenzurek, bo nie mam do tego prawa. Wolę starszych. Wiele pięknych wierszy napisali Różewicz czy Szymborska, Koziół. Jeśli chodzi o Włochy, literatura polska jest tam mało znana. W ogóle Wierzyński, że się po raz wtóry na niego powołam, twierdził, że poezja jest nieprzetłumaczalna. Nie, nie jestem tego zdania, te rzeczy można robić, i czasami nawet bardzo dobrze. Włosi niewiele o nas wiedzą. Posunąłem się już do tego, że z „Dekadą Literacką” pojawiałem się wśród kolegów rzymskich, tłumaczyłem im niektóre rzeczy. Tego typu pism u nich nie ma. We włoszech jest tzw. *terza pagina*, czyli trzecia strona dzienników, która załatwia, nieraz na bardzo wysokim poziomie, problemy kulturalne. Pojawiają się rozmaite pisma-efemerydy, które dość szybko znikają, bo nie ma sponsorów. To nie jest wesoła sytuacja. Natomiast obserwowuję rosnące ożywienie poezji we Włoszech, zresztą podobne we Francji. Zaproponowano mnie dwukrotnie na wielki międzynarodowy festiwal poetycki w Rzymie. Byłem przekonany, że na sali będą najwyższe ci piszący, jakieś ciotki, mamy, dzieci, tymczasem było tak nabite, że później już ludzi nie wpuszczali. To jest fakt. No, zobaczymy co będzie dalej. Ja wierzę w poezję! Trzeba w coś wierzyć w sztuce.

Jak udał się Panu ten obecny pobyt w kraju pod względem artystycznym. Czy opinie na temat *Seansu* satysfakcjonują Pana?

Bardzo. Widzę, że ta książka jednak się podobała, przyjęła. Wpadłem tylko w sidła pewnej pani, historyczki sztuki, metafizyczki, piszącej też zresztą. To było w Zakopanem. I ona mi mówi: „Dlaczego ty nie jesteś poetą metafizycznym? Dlaczego u ciebie nie ma tych warstw, docierających do jakichś głębi? Poza tym, dlaczego ty jesteś takim pesymistą?” Ja na to mówię: „Stuchaj, przecież napisałem wiersz pod tytułem *Seans*, właśnie taki wielowymiarowy. A pesymistą nie jestem, przeciwnie — „piszę ku pokrzepieniu serc”. Może ze swego punktu widzenia ma rację. Nie wiem.

W Zakopanem uzupełniałem przede wszystkim niektóre lektury, czytałem też pewne rzeczy, niekiedy wbrew sobie. Napisałem kilka wierszy, dwa jeszcze czekają na ostateczne oszlifowanie. W każdym razie ten pobyt był dla mnie bardzo owocny. Poza tym jest dla mnie cudem, że po raz trzeci, po długiej przerwie, byłem znowu w Zakopanem. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek je jeszcze zobaczę. Jestem do tych widoków ogromnie przywiązany, dlatego może, że moje dzieciństwo było związane z Karpatami Wschodnimi, zakątkami niezwyklej urody, które niestety do nas już nie należą, więc przerzuciłem całą miłość moją na Tatry, w których bywałem od lat pięćdziesiątych, od mego powrotu do kraju.

Co będzie po *Seansie* i co nastąpi w Pana życiu po wyjeździe z jesiennego Krakowa?

Trzy rzeczy. Myślę, że jakoś zbieram wiersze na nowy tomik, ale proszę się nie martwić, bo u mnie to trwa cztery lata. Może jeszcze będę żył? Mam takie okresy, napady. Ładuję się, ładuję, potem piszę, albo nie piszę. Najlepiej wiersze pisze mi się w szpitalu — ilekroć byłem w jakiegokolwiek klinice, dochodziło do tego, że nawet na pół godziny przed operacją układałem nie najgorszy wiersz. Nie myśląc wcale, że to jest testament dla narodu.

Mam taką dziwną propozycję: w tej chwili Jerzy Madeyski robi dla telewizji i Ministerstwa Edukacji cykl filmów o sztuce. Jeżdżą po Europie, fotografują najwspanialsze zabijki i miasta. No i bardzo mnie prosili, że-

bym wziął udział w tym wszystkim — z sugestiami, ułatwiając różne sprawy we Włoszech — znam dobrze język, po tylu latach nawet najgorszy tuman nauczyły się dobrze po włosku! — załatwiając pozwolenia na zdjęcia. Zobaczymy co z tego wyniknie. Myślę, że jednak to zrobię.

Proszę też nie zapominać, że naczelny „Przekroju”, Mieczysław Czuma, patrzy na mnie z wielkim wyrzutem, co ja tu jeszcze robię, bo chciałby mieć znowu jakieś korespondencje z Rzymu.

W końcu nie potrafię żyć bez muzyki, a we Włoszech zaczyna się właśnie wielki sezon. dostają oczywiście zaproszenia, między innymi do Akademii św. Cecylii, gdzie są znakomite koncerty i do opery.

W Krakowie jeszcze bym posiedział, we wszystkim się rozsmakowałem, ale niestety zaczyna być zimno. Zobaczyłem parę dni temu śnieg w Zakopanem. Nagle się rozczuliłem i pomyślałem, że chyba zaczniemy koledzy śpiewać.

Tam, w swoim ciepłym rzymskim mieszkaniu czeka mnie jeszcze jedna sprawa — mam mnóstwo książek i czasopism, których już dawno należało się pozbyć. Jeśli chodzi o krakowskie mieszkanie, to sąsiedzi (czy ktoś inny) byli uprzejmi najcięższe książki z niego podczas moich wieloletnich nieobecności wynieść, więc tu nie mam tego problemu. Człowiek przywiązuje się do obiektów, do przedmiotów. Przywiązanie jest drugą naturą — i coś w tym jest. Jakaś część duszy człowieka mieszka w przedmiotach, co zresztą wykorzystałem w wierszach. Nie uważam ich za rzeczy martwe. U mnie przedmioty żyją, mają takie same prawa jak ja. Czasami nawet im zazdroszczę, bo gdy widzę krzesło, i wiem, że ono będzie dłużej żyć ode mnie, ogarnia mnie wściekłość. Ale tego krzesła nie poamię na pewno. Co by mi to dało? Zegarkiem też można trzasnąć o ziemię, a wtedy znajduje się drugi czasomierz, który będzie dalej robił swoje.

Rozmawiał Krzysztof Lisowski

JERZY HORDYŃSKI urodził się w 1919 roku w Jarosławiu. Studiował prawo, orientalistykę i polonistykę na Uniwersytecie Lwowskim. Pierwszy wiersz ogłosił drukiem w 1935 roku. W przedwojennym Lwowie należał do czołowej grupy młodych poetów. Podczas okupacji niemieckiej publikował wiersze w konspiracyjnych antologiach oraz w prasie podziemnej. Kontynuował studia na tajnym uniwersytecie. Po powrotnym zajęciu Lwowa przez armię radziecką został aresztowany. W latach 1945-48 przebywał w więzieniach i łagrach na terenie ZSRR. Po powrocie do kraju zamieszkał w Krakowie, gdzie ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyjechał z kraju w 1961 roku i po trzyletnim pobycie w Paryżu oraz Wiedniu osiedlił się w Rzymie w 1964. Uprawia poezję oraz publicystykę kulturalną.

W kraju wydał następujące zbiory poezji: *Powrót do światła* (1951), *Wędrówki* (1955), *Pod znakiem Wagi* (1959), *Rozmowy z Chopinem* (1961), *Głowa na pieńku* (1965), *Koncert włoski* (1968), *Błędne koło* (1969), *Egzorcyzmy* (1972), *Wiersze wybrane* (1976), *Epitafium dla kota* (1977), *Cena oddechu* (1982), *Ślad* (1985), *Oddalenia* (1989). Utwory poety przełożone na kilkanaście języków znalazły się w wielu antologiach zagranicznych. Prócz tego wybory wierszy Hordyńskiego wydano po francusku, niemiecku, holendersku, włosku i ukraińsku.

Za twórczość poetycką otrzymał szereg włoskich nagród o charakterze międzynarodowym: Nagrodę rzymskiej Akademii „Città Eterna” w 1971, „Gran Premio Italia 72”, Nagrodę Burmistrza Rzymu i Rzymskiej Prasy Kulturalnej w 1975, Nagrodę Muz Międzynarodowej Akademii „Le Muse” we Florencji w 1981. Równocześnie został powołany w poczet członków tejże Akademii.

Włodzimierz Maciąg Jak się pokochać?

Recenzji nie zaczyna się na ogół od uwag o formie, problemach „formalnych”. W przypadku tej książki* wszakże musimy zmienić kolejność rzeczy: konstrukcyjna koncepcja książki staje się zagadnieniem wprowadzającym od razu w istotę sprawy. Obaj główni autorzy są postaciami na tyle wyrazistymi myślowo, że wejście ich w dialog (a jeszcze przy pomocy mediującego redaktora) określa w poważnym stopniu obszar refleksji, a może nawet oczekiwań czytelnika. Obaj produkują nieprzerwanie spore ilości wszelkiej opinii, obaj gustują w tzw. „wymierzaniu sprawiedliwości widzialnemu światu”, każda z ich książek odsyła nieuchronnie do tytułów wcześniejszych, jeśli więc postanowili mówić wspólnie i obok siebie, to znaczy, że z tej bliskości spodziewają się wydobyć coś innego. Równoległość, czy raczej równoczesność refleksji jako sposób ułatwiający precyzację — wiadomo „od zawsze”, że myśl skonfrontowana, myśl „w zderzeniu” z inną myślą (odpowiednio dobraną) wystrza się, nabiera wyrazistości itd. Bo nie po to podejmuje się dialogi, żeby dojść do konkluzji, że „wszystkie światłe umysły myślą tak samo, albo bardzo podobnie”, tylko po to właśnie, aby wyraźniej zarysowały się różnice i odcienie.

Tymczasem dialog „między panem a plebanem” prowadzony jest od początku do końca z intencją dogadania się do jakiejś wspólnej (choćby na wysokim stopniu uogólnienia) konkluzji, która wesprzeć by się miała na dwu bardzo różnych doświadczeniach życiowych. Z jednej strony do wysokiego stopnia świadomości dochodzi doświadczenie religijne o rodowdziej chłopskim, doświadczenie zdystansowane od hałasów i sensacji bieżącej polityki i kierujące się intuicją Absolutu, z drugiej — mamy do czynienia z umysłem o rodowdziej oświeceniowym, kształtowanym przez utopie powszechnej sprawiedliwości, z umysłem, w którym chętnie „myśl utożsamia się z działaniem”, tj. umysłem, który powagi szuka w swoim wpływie na współczesnych. Można sobie zaledwie wyobrazić, jaka pasjonująca byłaby to książka, gdyby w spotkaniu wzajemnym oba umysły strzegły swojej uzasadnionej autonomii i nie ulegały korekturom sympatii osobistych. Tak się niestety nie dzieje. Czasem się ta „niemożliwość dogadania się” ostro zarysuje, z pomocą pośpieszy jej prowadzący dialog redaktor, ale nie, obaj jakby tego nie chcieli, a nawet się tego bali. Że lewica nie dogada się z Kościołem. Bo nie dogada się, proszę obu Znako-mytych Autorów, i to nie dlatego nie dogada się, że ludzie są uprzedzeni, albo mają złą wolę, ale dlatego, że fundamentalna sprzeczność w doznawaniu i rozumieniu istnienia jest, jak sądzi wielu, przyrodzoną cechą świadomości. Nie wynika z tego oczywiście, że nie należy szukać i tworzyć obszarów porozumienia i wspólnoty. Ależ trzeba, trzeba, któż by o tym nie wiedział? Wszakże obu autorom chodzi, jak ich zrozumiałem, nie o jakieś wspólnotowe przedsięwzięcia (np. o czasopismo, szkoły czy uniwersytety), ale o porozumienie i „dogadanie się” na poziomie wysokim, czy zgola filozoficznym. A tu intencja podobna zaczyna prowadzić ku myślowym porażkom, ku zamazywaniu pojęć i struktur myślowych, czarnego z białym, a w końcu nieba z piekłem.

Za czasów minionych tworzona była uparcie przez władze instytucja tzw. „dialogu marksistów z katolikami”, instytucja, która służyć miała jeszcze jednej kontroli nad życiem umysłowym. Och, daleki jestem od imputowania komukolwiek, że książka jest z tego ducha. Żadna władza jej oczywiście nie inspirowała, zresztą nie ma takiej władzy. Ale ta intencja dogadania się i pojednania (o tym książka nie mówi, ale do tego jakby zaczynała przygotowywać) w imię dobra zbiorowego — pożądana jest czy nawet konieczna przy ustalaniu praktycznych reguł współżycia, a więc np. sposobu wylaniania władzy, zakresu nakazów i zakazów albo wysokości podatków. Natomiast w sferze myśli, rozumienia świata, interpretacji historii, a nawet oceny ludzkich zachowań — w tej sferze mowy o porozumieniu być nie może, bo przybiera ono nieuchronnie sens doraźny i polityczny i ten sens wytłumia wszelkie inne, być może szlachetniejsze sensy. Z kimś, kto myśli inaczej niż ja, mogę się doskonale porozumiewać w sprawie uprawnień sejmu i prezydenta albo organizacji ubezpieczeń społecznych, ale nie muszę przecież, na miłość boską, godzić się, czy wejście Armii Czerwonej na ziemię polską w roku 1944 było nową okupacją czy też wyzwoleniem.

O tym akurat nie ma w książce mowy. Ale, by tak rzec, partyjność intencji obecna jest, ilekroć zaczyna się mówić np. o roli Kościoła i jego hierarchów. I kiedy zarysowuje się owo nie wypowiedziane wprost kryterium „skuteczności społecznej”. Od kiedyż to doniosłość duchowa, jaką wypracowuje sobie i do jakiej jest powołany umysł człowieka — mierzy się stopniem jej społecznej obecności czy zgola służebności? Czy domena polityki, bieżących wydarzeń politycznych stanowić może kryterium słuszności dociekań myślowych? Jak oceniać można programy ideologów politycznych: że kto np. wygrywa w wyborach demokratycznych, to zapewne myślał „skuteczniej”. Wiadomo jednak równocześnie, że demokratyczna większość wybiera źle albo głupio, bo wyobraźnia masowa nie potrafi wybiec poza doraźne doświadczenie. Otóż cała ta sprawa „odwołań ostatecznych”, „sensów najwyższego rzędu”, jest w dialogu dość starannie omijana. Odstania się to np. w rozdziale o odzyskanej wolności, o „nieszczęsnym darze wolności”, w którym to rozdziale pojęcie wolności nie może sobie znaleźć myślowego kryterium. Dyskutanci zaczynają mnożyć sposoby

rozumienia i doznawania wolności w poszukiwaniu języka, w którym świat wewnętrzny jednostki mógłby zostać sprowadzony do tych samych miar, co świat historycznego społeczeństwa. Odzyskanie wolności politycznej przez zbiorowość powinno się wiązać z odzyskaniem wolności czysto duchowej jednostek. Nie związało się wcale — stwierdzają obaj dialogujący. I zaczynają szukać dowodów tej niekoherencji w socjologicznych obserwacjach.

Tak się nigdy stanu uzyskanej wolności sprawdzić nie da. Jak w ogóle nie należy szukać tu procesu jakiegoś wynikania. To jedynie myśl oświecona przywiązała się do mniemania, że umowa społeczna jest podstawowym gwarantem wolności, którą to iluzję szybko odsłonił romantycy. Fakt, że bardzo wielu przeżyło (i przeżywa) stany rozczarowania w następstwie odzyskanej wolności politycznej — czy może być zaskoczeniem? Czy nie był oczywisty w sposób wręcz konieczny? Szukanie jakiejś spójnej definicji dla wszelkiej wolności wydało mi się w książce reliktem wciąż strzeżonej w sercu utopii. Bo oczywiście wszelkie poszukiwania zbliżeń myślowych, porozumień i pojednań coś takiego muszą zakładać: że istnieje taki fundamentalny wymiar rzeczy, w świetle którego daje się określić wszystko, co człowiecze. Nie ma takiego wymiaru. I nie należy go szukać. W dialogu książki wielokrotnie mówi się o wysokiej wartości autonomii wewnętrznej jednostek, o świętym i niezbywalnym prawie do wyboru, o wszystkich tych pięknych rzeczach, na których zbudowane zostało pojęcie godności człowieka. Ale równocześnie towarzyszy temu nie artykułowana nigdy wprost wiara, że wszyscy „jak tu jesteśmy” — zmierzamy, albo zmierzając powinniśmy „w tę samą stronę”. Więcej nawet, wszyscy sobie powinniśmy pomagać w odnajdywaniu tej jedynej drogi, bo myślenie inspirowane utopią nie chce utracić wiary, że wyobraźalny jest jakiś idealny stan zgodnej jedności wszystkich ludzi na ziemi. I kto tę wiarę żywi, działa na jej rzecz — dobrze czyni. Bo wtedy wszyscy będziemy wybierać tak samo i to samo. I światło oddzielone zostanie od ciemności.

Taka wiara jest ludziom potrzebna. I w wielu praktycznych działaniach może sprzyjać dojrzewaniu różnych pięknych owoców. ONZ na przykład, jak wcześniej Liga Narodów, to są bardzo piękne osiągnięcia ludzkości oświeconej i kojąca jest myśl, że coś takiego zdołali ludzie wypracować. A wcześniej pomyśleć. Prawie wszyscy gotowi jesteśmy zapisać się do Towarzystwa Przyjaciół ONZ, ale z tego zupełnie nie wynika, że tak samo albo podobnie wyobrażać sobie mamy istnienie człowieka na Ziemi, jego cele i jego powołanie. I spór o to ma trwać, nie do tej chwili, aż wszyscy podporządkują się myśli oświeconej. Ma trwać zawsze. Bo on właśnie określa wyjątkowe miejsce człowieka. Koncepcja świata wywiedziona z doświadczenia chłopskiej religijności (co Ks. Profesor tak chętnie u siebie podkreśla), nie może i „nie powinna” szukać zgody z projektującą myślą oświeconą, ponieważ szukanie zgody nieuchronnie oznacza tu myślową kapitulację, samoograniczenie, a w końcu jałowość. Ks. Profesor ustawia się „najdalej na lewo” wobec ortodoksji, Adam Michnik z kolei zapewnia nas gorąco, że Kościół katolicki jest mu niezbędny dla godnego życia w zbiorowości. Dla partyjnej praktyki jest to może taktyka elastyczna, stwarzająca pewne komforty. Ale dla śmiałego i konsekwentnego myślenia jest to tylko pokusa obejścia trudności, ominięcia niewygód, jakie niesie ze sobą człowiecza podmiotowość, czy nawet wszelka tożsamość. Kompromis jest domeną polityków. Kiedy się staje domeną myśli jako takiej, zaczy-

na zdradzać. Wpędza we względy i urzędy, zatrzymuje przed konsekwencjami, w końcu przygotowuje jałową letniość. Na czym polega klęska utopii solidarnościowej? Dlaczego elity tak jaskrawo zdradziły masy? Jak to jest możliwe, że w Kościele tak wyraźne są głosy odwetu, tak uporczywe echa antysemitki, tak bolesne odstępstwa od ducha Ewangelii? To jest tylko mała część pytań, na które dialog teologa katolickiego i oświeconego racjonalisty powinien zareagować. Czy nie są to ważne pytania? Czy nie dręczą one umysłów „dobrej woli”? Ale podjęcie ich zakładałoby wydobywanie się z letniej zupki porozumienia i zgody. Nie można jeść sobie z dzióbek, kiedy się mówi o doświadczeniach rzeczywistej historii. Lewica intelektualna domaga się surowej krytyki tak samo jak historyczny Kościół. Kto to umiałby lepiej od dwu wybitnych autorów? Właśnie dialog to umożliwił, „podkładał się” niejako jako forma sprzyjająca dramatyzmowi myśli. Książka mogła stać się świadectwem pewnej fazy starego, a może odwiecznego sporu, stała się jednak tylko dokumentacją dwu indywidualnych biografii. Dwu umysłów, które woła się polubić i zaprzyjaźnić, niż stawiać siebie w „stan podejrzenia”. I trzeba powtórzyć raz jeszcze: chodzi o docieklivość, o domyślenie rzeczy „do końca”, nie o żadną, dobrą czy złą wolę.

Bo przecież najciekawszą, najbardziej pobudzającą refleksję niesie książka wtedy właśnie, kiedy zaczyna się o tym mówić. Książka jest w ogóle bogata i to bardzo bogata w informację o niedawno minionych wydarzeniach. To jest przecież jej najważniejsza wartość: że daje przekaz historii bieżącej, jak się rodziła i jak była przeżywana. Nie historii „zmarzniętej”, uporządkowanej i zaklepanej, ale żywej, stojącej się niestannie i wymykającej się myśli, projektem, przewidywaniom. Wydarzenia są tu wciąż gorące, nie dające się myślowo opanować, w tym sensie nieobliczalne. Jest to więc historia upodmiotowiona w najlepszym znaczeniu słowa, historia nie zapisywana, tylko współtworzona i doznawana jako następstwo (nieprzewidywane) własnych pomysłów, własnych działań. To jest w wielu miejscach tekstu i to jest pasjonujące. Przeczytać ją musi każdy, kto chce zrozumieć, co się naprawdę stało, czy raczej „stawało się”. Taki szczegół np.: Adam Michnik sporo o tym mówi, jak bardzo nieufnie traktowany był KOR przez wielu przywódców „Solidarności”. Ile żywej niechęci, a nawet wrogości budził wśród hierarchów Kościoła. Ale tło tej niechęci i wrogości — skąd się rodziło i rodzi nadal, jakie były fundamenty w sferze myślowej (bo nie da się tego objaśnić personalną rywalizacją), a wreszcie w sferze wartości? Słowo „trockizm” — czy zwykłą obelgą jest, czy może z nieczystym sumieniem artykułowaną interpretacją? Dobrze, że książka o tym mówi. Ale źle, że się cofa przed głębszym, myślowym rozpoznaniem. Czego się hierarchowie obawali? Czy tylko wpływu na masy? Czy może przesunięcie w mentalności zbiorowej, utraty poczucia „jedynie słusznego” stanowiska? Szkoda, że tego nie próbowano analizować. Bo w tej wrogości załamuje się cała iluzja porozumienia. Książka doprowadza czytelnika wiele razy ku podobnej problematyce „wiecznego sporu” o źródło człowieczeństwa. I prawie zawsze szuka języka, aby zagadać tragiczne pierwiastki człowieczego doznawania rzeczy, aby sprawy doprowadzić do nieporozumień, do personalnych ambicji albo złej woli. Staje się to czasem niezdolność. I jakby małoduszne.

Nikt nie przejdzie nad tą książką „do porządku”. Ale też właśnie dlatego domaga się ona nieuprzedzonej krytyki.

*Adam Michnik, Józef Tischner, Jacek Zakowski: *Między Panem a Plebanem*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1995.



Jan M. Szczurek, Rysunek, 1984.

Fot. Wiktor Mleczo

FRAGMENTY

KRUŚYŃSKI Szkice historyczne

Zbigniew

CIAĞ DALSZY ZE STR. 1

Pomyślał o kościele, zakonnikach z -owej. Pod stałą obserwacją, nieco utrudnioną rozgałęzionym terenem klasztoru, który wypełniał wielki kwartał ulic. Jakby nie dość im było oka Opatrzności. Ale klasztor już dawno zostawili za sobą, rubaszny przeora, mszalne wino, ciszę. Teraz podszywał tylko ziemskie już pokarmy: rampa przeładunkowa, zakryty magazyn. Paszty z wątróbek i pasty do zębów. Odmienne butle szamponów do włosów, urągawisko wstępujących tyścin. Gąsior oleju, chyba na podpałkę (niech podtrzymują w sobie święty ogień). Wielkie zdradliwe puszkę na konserwy, gdzie zamiast obiecanych przysmaków z Prowansji znajdowali niesmaczny, czarny, niejadalny, jętrzący i mogący wywołać rozruchy (karta dziewięć, przez kalkę, dochodzenie w toku), smoliste artykułowany jad farby drukarskiej. Wtedy kładli się głodni, z zemsty układając zbiorowy tom oświadczeń, sonety o brzasku.

Blagosławieni mnisi, albowiem to oni stawali się królestwem niebieskiego. Milicja schodziła się tłumnie na rekolekcje, co miesiąc, i wówczas pogańskie podmiejskie dzielnice jawiły się chwilowo przejezdne, niegroźne. Zwykle wtedy zmieniali tymczasowy adres, nawet jeżeli trzynastego wypadło w piątek.

Kościół odpadał, nie był żadnym tropem. (Ten sam udzielał sobie rozgrzeszenia).

Uczelnia? — przechodzimy na pozycje świeckie.

Uczelnia, cesarstwo fiszek. Zgubny zwyczaj cytatów (miejsce, strona, data), dokładnych, zbyt dokładnych, adresów wydawniczych. Poglądził dostarczone mu do wglądu akta, wydobyte z archiwum cimelium, starodruk.

Wszechnica, szturchanie struktur. Spory uczonych o to, gdzie się kończy cytat. Fauna docentów, płatanina zeznań, kolokwialne wtrącenia studentów nad skryptem. Dialog, polifoniczność, już nie to co klasztor (po co było odbierać szkoły jezuitom?)

Infiltracja, melioracja. Tyle wody, nie mogło im przecież ujść na sucho.

Jakiś czas się trzymali z dala od uczelni, a zaproszone kawą, na nocnym stoliku coraz wyżej piętrzyły się opracowania, naukowe rozprawy, z reżimem, odczyty, nadsyłane obficie przez uniwersytet, który mimo strzelistej wieży rektoratu nieodwołalnie schodził do podziemia.

Gleboznawcy kopali, zacierali ręce, uwalane po łokcie, syjąc piaskiem w oczy oślepiłym astronomom, którzy — w ciemnej nocy — zostali na dokładkę zepchnięci do cienia.

Porzucone kariery, załamania kierunków, wszyscy zaczęli zgłębiać dzieje filomatów. Wszyscy kto?

Nigdy nie kontaktował się prosto z uczelnią. Przychodzili pośrednicy, i pośrednicy pośredników. Może ten jeden raz, kiedy mechanizm szczytną, a trzeba było pilnie wysłać jakąś pocztę.

Dotarł do niej wieczorem, późnym, prawie nocą. Najwyraźniej nie w porę, w trakcie toalety, bo zdążyła już zetrzeć tusz z jednego oka. Nie spodziewała się, nie, wcale, nie szkodzi, ale skądże, głupstwo, tędy proszę. Nie sądziła, bałagan, naczytnia nie umyte, czajnik, herbata, kawa, tak eliksir powitań.

Pociąg o czwartej rano, to raptem parę godzin.

Leżeli, już ubrani, czuwając nad budzikiem.

Najgorsze były zebrania. Konferencje, złoty. Ciasne biurko pod oknem, jak stół prezydencki. Długie głośnie dyskusje, obchodzenie rocznic. Dym tak gęsty, że gasną nawet papierosy. Urządzano je często, pod osłoną imienin. Ewy — i całe miasto zamienia się w festyn. Lekko spóźnieni goście przyspieszają kroku. Solenizanci przyjmują życzenia. Studiował w pamięci listę uczestników, omiatając ich teraz cieniem podejrzania.

Mylne tropy, urywające się na pierwszym skrzyżowaniu. Alarmy, które wyją przy lekkim podmuchu. Ciężkostrawne notatki, stawały im w gardle, kiedy do drzwi stukali świadkowie Jehowy. Nerwica przeprowadzek, zmiany tożsamości, trudne do ustalenia daty urodzenia. Przypadkowe imiona przyszywanych rodziców, jabłko, które upada z dala od jabłoni.

W momencie zatrzymania oskarżony okazał dowód (załącznik osiem, dopięty spinaczem), na nazwisko osoby zmarłej, szanowanej, która, jak można mniemać, przewraca się w grobie.

Ostatnio imieniny wyprawiali częściej, czyżby chcieli fetować także pseudonimy? W wynajętych lokalach, goście docierali już po długim kluczeniu, z wędzącym bukietem, przepraszając, spóźnieni o, któż mógł przewidzieć, dobre pół, dobrą całą, acz czarną godzinę.

Jak wykazało śledztwo, wszyscy zatrzymani przybyli do lokalu celem zgromadzenia, nielegalnego w świetle paragrafu dwadzieścia siedem, ustęp jeden-cztery. Podane przez obronę mętne wyjaśnienia nie zasługują zupełnie na wiarę, już choćby z tego względu — dowód z kalendarza — że nikt ze zgromadzonych, nawet z bierzmowania, nie nosił potrzebnego tu imienia Eryk.

Wiele razy błyskała możliwość ucieczki. Otwarte okno, parter, w pokoju przesłuchań. Muślinowa firanka w posuniętej ciąży, od nowa zapładniana rozbuchanym wiatrem. Trawnik, ulica, tramwaj, zbawienny gąszcz sklepów. Czuł jak mu z wolna ołowięją nogi, jakby iść z kieszeniami pełnymi kamienia.

Jeszcze bardziej ciążyła śmieszność, wstyd ucieczki. Ściągające go długo, mimo że nie uciekł, rozbawione, rzucone w ślad za nim spojrzzenia. [...]

Nie, proszę nic nie mówić, my i tak wiemy swoje, aż za nadto. A gdybyśmy nawet nie wiedzieli, czy to ma znaczenie. Tajniki wiedzy. Komu to potrzebne. Prokurator musi uczyć się dat i adresów, które nie zagrzeją miejsca w historii ani geografii. Biedny, niedouczony prokurator. On, który chciał być w przyszłości adwokatem, niech się pożegna z tą rolą, a pewnie i z tą sceną. Dlaczego mielibyśmy ułatwiać mu zadanie, zostawmy kilka pustych miejsc, nie zapisanych stronic, niech wyteżę swój nawykły do wysiłku umysł. Jakaś dziewczyna, Bogu ducha winna, przeniosła kilka gazet o dwa kwartały ulic. — Czyny, czyny oskarżonej — będzie grzmiał, oburzony, geniusz, patos prawniczy. Czy ktoś z was myślał, odnotowując adres, że oto właśnie dokonuje czynu? Tak, teraz jest zupełnie inaczej niż w latach stalinowskich. Bezpieczni, nawet stalinisci tak je nazywają. Wtedy było bezprawie, ale dzisiaj, proszę, mamy tu cały dekret, prawo, prawo. Ze skrupulatną numeracją paragrafów, bo cyfry nie znają wstydu, grzech obzarstwa. Czy oskarżony mógł zdążyć z jednego miejsca (przestępstwa) na odległe drugie w ciągu niecałych trzech kwadransów? — ot dylemat. Dokładne obliczenia, mierzą, porównują. Pojadą na wizję lokalną i sfotografują miejsce spotkań, pomnik Fredry, jakby i jego chcieli powołać na świadka. Potem wpinają tu te widokówki, w akta sprawy. Wszystko się zgadza, Aleksander Fredro, komediopisarz, autor *Zemsty* i *Cudzoziemszczyzny*, 1793-1876, choć co do daty urodzin są podobno wciąż jakieś nie rozwiane wątpliwości. Ale nie martwmy się, moi koledzy na pewno i to wkrótce wyjaśnią. Zdejmują odciski palców i z archeologiczną pasją opisują ubytki czcionki „r” w maszynie do pisania. Jakbyśmy mieli skazywać was i za morderstwo. Ale podejrzani, podejrzani nie zostają w tyle. Mówią, mówią, jakich talent fabularny, aż powieść wystąpiła z brzegów i nie starcza nam już kwestionariuszy przesłuchania. Ich projektanci zakładali większą zwięzłość, nie sądzili, że w obławie uda się schwytać wylewnych narratorów. Trzeba by nam Bachtina, by to posegregować, a nasi specjaliści odbywali szkolenie w innym dziale. Szkoda, bo zrobiliby z tuzin doktoratów na temat nowej kategorii narratora nic nie wiedzącego. Udostępniał mieszkanie, prosił o dyskrecję, ale sądził, że w celach małżeńskiej niewierności. Za każdym razem ścielił nowe prześcieradła. Przenosił jakieś paczki, był pewien, że z jedzeniem. Nie, dlaczego miałyby się interesować treścią przekazywanych listów, nie będziemy czytali cudzej korespondencji, my, ludzie dobrze wychowani, z pewną klasą. Jeżeli tam wstępował, to dlatego tylko, że było mu wygodnie i po, równej, drodze, pomiędzy pracą i domem rodzinnym, do których się ograniczają jego pasje w życiu, skromnym i jak najdalszym od spraw politycznych. Notatka sporządzona własnoręcznym pismem? Nie przypomina sobie, pisał pod dyktando, może pili alkohol, może to był żart. Zbierał pieniądze, nie będzie się wypierał, ale był przekonany, że w sprawach losowych, czemuż, jeśli możemy, nie ulżyć doli biednych, pozostających chwilowo bez dochodów. Z maszyny do pisania korzystali wszyscy, wpadali, żeby sobie na niej grać jak na pianinie, fugi.

Nie, proszę nic nie mówić, niech mówi narrator, który przywraca utraconą wiarę w powieść, fikcję.

Proszę podpisać, w dolnym prawym rogu, odmawiamy składania wyjaśnień do kupy. Co tu zresztą wyjaśniać, jak i tak ciemnota. [...]

Prokuratura leżała niedaleko, o rzut kamieniem, który jednak nie podrywał się do lotu. Musieli opisać równoboczny trójkąt ulic wypełniony bez reszty sądami i aresztem, przylegającymi do siebie jak wina do kary. W jednym miejscu wrastał w nie kościół, barokowy, osadzeni służyli do mszy za ołtarzem, jako przykłady wyobrażeń czyścica. W innym mur opasywał zwyczajne podwórko, po którym nikt nie myślał iść w kółko na spacer. Na starych ceglach ktoś przewidujący wymalował od razu kilka bramek, co istotnie zwiększało szanse na celny strzał, dopóki piłka kopnięta zbyt wysoko nie przeleciała na niedostępną stronę: gryps.

Za rogiem zaczynały się sądy, nie przelewki, chyba od razu obydwu instancji, bo czerwone tablice z ich nazwami nie mogły sobie znaleźć miejsca na fasadzie. Po przeciwnej stronie ulicy gościła adwokatura w niskich barakach, nowych nie działających wstecz. Czarne figurki obrońców w historycznych strojach przebiegały z narażeniem życia jezdnie. Umykając przed pędzącymi autami, skosem, zmierzały do uniknięcia odpowiedzialności karnej.

Za drugim rogiem kończył się już spacer, trójkąt zamykała przeciwprostokątna. Słońce świeciło nadal, zmieniając tylko stronę, i oficer chętnie by się zapuścił dalej, na stare miasto, na uniwersytet, odwiedził wspólne miejsca, prawo, filologię i bibliotekę, gdzie stawali młode lata. Niestety śledztwo, po zamknięciu, nie dopuszczało już wizji lokalnych, nawet jeżeli nie całkiem dało się wykluczyć, że i tam kwitła działalność nielegalna.

— Podpisze pan koniec śledztwa — polecił prokurator. Ma pan godzinę, żeby zapoznać się z aktami. Niestety nic nowego, stare, dobre śmiecie. Ewentualnie materiał zdjęciowy, bo nie zawsze musieliśmy pana zatrudniać za modela. Ale tu starczy rzucić okiem, żeby zobaczyć, że wszystko się zgadza.

Wszystko się zgadzało. Stał, siedział pomnik Fredry w rynku, w umówionym miejscu, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa, z białymi epoletami ptasich ekskrementów. Niezidentyfikowana kobieta w szortach i sandałach przechodziła po prawej, poprawiając okulary. Przy furt-

ce do domu nadal rosły tuje, rzucając swój spiczasty cień na okno w kuchni. Na schody, bokiem, wspinał się cierpliwym, nieprzyjemnym w dotyku chropowatym chmiel. Porzeczki dojrzewały wzdłuż garażu wystawione na południowe światło. Ogórki zaczynały żółknąć, rosnąc nocą, a pomidory przestawały pachnieć w biały dzień. Na hamaku z porzuconą książką spała Ewa, i ani jej się śniło, że udaje sen. Grusza porastająca fundamenty domu zastaniała otwarte okno od tarasu, nie pozwalając przemknąć się do wnętrza, nie budząc dziecka wśliznąc do sypialni, pozbierać rozwłóconą po łóżku piżamę, dokręcić, jeśli trzeba, kran w łazience, wyjąć z lodówki mleko, już za stare, by zagotować, więc je przelać do glinianego litrowego dzbanka, zrobić miejsce wśród puszek na półce w spiżarni i delikatnie, tak by nic nie rozlać, odstawić na niedzielę, na chłodnik i na zsiadłe.

Na piętrze sąsiadkę przytapano na gorącym uczynku gotowania zupy. Przez szybę zachodzącą gęstą tłustą parą widać, jak się odsuwa, chce uciec, wszystko rzucić, zostawić ją niedoprawioną, niedogotowaną. Z balkonu już nie zdąży pozbierać koszul męża, którym także nie ujdzie na sucho, zwłaszcza na mankietach, gdzie jak wykażą późniejsze analizy zostały ślady krwi, zimnej, atramentu, i nie dającej się wypłukać spośród włókien farby, trudno dziś dociec: malarskiej czy drukarskiej.

Spisek zataczał coraz szersze, chociaż nie zawsze regularne kręgi. Usadawiał się w drogiej, pachnącej kawiarni na chyboliwym krześle przy stoliku, by zaraz potem w niedalekim barze mlecznym naprędcie na stojąco jeść potrawy mączne, mętne. Bywał w centrum, na skrzyżowaniu, wspólnie, w porozumieniu, i samotnie na opuszczonych peryferiach, gdzie w altance przechowywano narzędzia ogrodnicze.

Uzyskane tą drogą wiadomości przekazywał dalej, hen. Odjeżdżał z dworca głównego jak gdyby nigdy nic, objętym całkowitą rezerwacją miejsc ekspresem. Pod osłoną przystanku czekał na autobus z rozpiętym dodatkowo nieprzemakalnym parasolem. W sklepie z artykułami technicznymi przekazywał kasjerce banknot o nominale dwóch tysięcy. Taksówkarz jechał z nim pod otrzymany adres, wyrysowaną na załączonym planie trasę.

Zimą nie zagrał w jednym miejscu miejsca, tak, że ślady na śniegu nie stopniały w oczach. Latem nie stawał się o umówionej porze, świecąc pustką na dłoni w pełnym słońcu lata. W długie deszczowe wieczory po sezonie nie zobaczył z kulawą nogą psa.

Kolejne karty przedstawiały martwą rzekłby naturę dowodów rzeczowych. Na swoich miejscach leżały przedmioty, odzorowane z fotograficzną dokładnością. Pióro, naturalnej wielkości, ze śladami palców. Zegarek wskazujący tę samą godzinę, która widniała w dolnym prawym rogu, odbita wprost na kliszy, żadnej przerwy w czasie. Ujęta z góry maszyna do pisania, z charakterystycznym przegięciem czcionki s. Scyzoryk niejednego przeznaczenia, zwarty. Gazeta służąca przekazywaniu wiadomości. Mapnik.

Na koniec następowały indeksy postaci, celowo zaczerpnięte z różnych woluminów. Niewielkie paszportowe fotografie w równych rzędach z suchym stemplem orzełka w dolnym prawym rogu. Wśród dziesiątków przybranych twarzy bez wyrazu świadkowie powołani na tę okoliczność bezbłędnie rozpoznawali podsądnych po brodzie, choć zdjęcia robione były już jakiś czas temu przy okazji wyjazdów służbowych i podróży o celu turystycznym do krajów demokracji. Na nic się zdało farbowanie włosów, lysienie, fryzowanie i szkła kontaktowe, jakimi co niektórzy zastąpili okulary, bo trudno dać wiary wykrętnym wyjaśnieniom, że wada wzroku sama się cofnęła, nie czekając na przydającą im wiarygodności starość. [...]

DWA

Środę, albo w czwartek, niełatwo powiedzieć, bo dni przestały się tutaj nazywać, a czas, jeśli jeszcze posuwał się naprzód, to tylko dzięki datom na pudełkach z mlekiem. Na nich też zresztą nie mogli polegać, bo mleko było słodkie już dobrze po czasie, a w końcu jeśli nawet zaczynało gęstnieć, to wciąż bez tego smaku, co, tam, trawił język przez całe długie lato (co dzień dwie butelki, podchodzące nazajutrz niecierpliwym kwasem). Budzili się o piątej, czekając mleczarza, kroków po ganku, uderzenia w podest, silnego, ale przecież nie na tyle, aby — pękło grube, skupione denko butelki. Leżeli tak bez ruchu, żeby się nie budzić, bo nie podejrzewali, że nawzajem nie śpią.

— Nie ma — trzeźwiała Ewa, nie wyjechał przecież. Mleczarza nie ma, koniec, są pudełka, mleczarz, nabili ich w butelkę, nie dostał paszportu. I nadal tam ustawia dwa litry, jak dawniej, już, trudno, opłacone, z góry i na zsiadłe.

Przyjechali jesienią, popołudniu, kiedy słońce świeci tak nisko, że zastaniają je bez reszty plecy celnika i dopiero, gdy obraca się na krześle, sięgając po pieczętkę, przez oszklone drzwi widać: żółty trawnik, ławkę, cienie, które kładą się wszędzie, pokotem, długie tak, że nawet krawężnik zaciemnia pół ulicy. Las masztów ponad portem, samochody, wolno kręcące się po parkingu, jakby pies, nie mogły sobie znaleźć miejsca. Kilka osób, czekają, wspinać na palcach, pragnący za kimś, kto wychodzi — nad nim — wypatrzeć swoich, jeszcze przed barierką, niewidocznych, pochyłych, nad walizką, z ręką w każdej chwili gotową, by poderwać sztangę.

Po przyjeździe, od progu, rzucają się na spacer. — Czekajcie — pobiegł zaraz za nimi ich sąsiad (kierowca pekaesu, przewoził ulotki, poznali go na promie, nie huštało wcale, teraz mu przydzielono mieszkanie naprzeciw, jakby ten sam wciąż pokład ktoś przesuwiał dalej). — Czekajcie, się nie pali, i można pójść razem. — Ale dokąd, którędy — stali zbici z tropu. — Tam, tamtędy — machnęła komuś nagle ręka, pomocna, poruszona (i tutaj na zdjęciu zostanie biała plama, niewyraźny obłok, jakby mgła rozciągnięta od ręki do twarzy). Stamtąd, jak im się wydawało, słychać było morze. Ruszyli skosem na dół, raźniej z każdym krokiem. Wiał lekki wiatr albo słońce chyliło się ku zachodowi.

Raźniej, okrzyki — dalej! — podnosiły wrzenie, choć pęd spaceru wciskał je na powrót w usta. Radość nowego wypierania z piersi lęk przed nieznanym (nie zagranym miejscem). Za rogiem nagle, zgodnie, poczuli się młodszy. Ewa o cztery lata, Kierowca o osiem. Szli, z rozmachem, z żywymi, przydeptywając cienie. Orkiestra grała, dęta, w uszach jak na scenie.

Kierowcy udzieliło się bezchmurne niebo, wziął Marcina za rękę i pobiegł przed nimi. Potrząsał ramionami, szukając miękim obcasem buta przedrzeźniał wirami. Na asfalcie zostawiał, wyraźny i cały, odciskiemy gdzie indziej, na wilgotnej ścieżce (pośmiertną maskę kroków, które kierowały w inną niż Berga stronę) labirynt podeszwy.

Przez sam środek czwartku, na domiar październik. Październik, kiedy ojciec w swojej bibliotece szukał starannie zgiętej płaskiej mapy gór. Rozkładali ją na biurku, w gabinecie i pod lampą, zapalką, rysowali szlak. — Mam zaliczenie, sprawdzian, colloquium, egzamin — wymawiał się starszy brat, którego nie pociągała wspinaczka, u celu kamień plecaka, piekło szorstkiej koszuli. Łamał swoją zapalkę, wkładał ją do ust i obracał na języku. Kwaśna, stawiała opór rozmokniętych włókien. Ojciec musiał udawać, że tego nie widzi, już zasapany, pokonywał zleb. Półgłosem czytał mapę, sylabizując szczyty. — Dokładna, aż po trawę — żartował z podziwu.

Kierowca wciąż prowadził, z Marcinem, przed nimi. Kiedy ulica nachylała się gwałtowniej, widzieli, jak na czubku głowy włosy układają mu się w niezarastające gniazdo. Przed światłami przystanęli niezdecydowani. Rozpoznali czerwone, ale nie wiedzieli, iść czy czekać. — Chodźmy — ruszył Kierowca, zniknął samochodem.

Nad morzem czekał na nich lekki, płytki zawód. Wystawało, domyślne, u końca zatoki jak wąska szara taśma do tłumienia drzwi. Ruszyli brzegiem sądząc, że następny cypel otworzy im na oścież widok, na szerokość, ale także następny i następny cypel odsłaniał wciąż tę samą, wąską, uszczelnioną, ciasną, zamykającą framugę zatoki.

Siedli na pustej ławce, wyciągnęli nogi. — Mało kurzu — ktoś powie, pewnie znowu Ewa, studiując w zamyśleniu przydeptywany but.

Wracali inną drogą, za namową Kierowcy, który dobrze zapamiętał kierunki. Weszli na pełen sklepów, niewielki romb rynku i przez szybę, nic nie rozumiejąc, śmiali się długo na głos z wystawionych cen. Podbijali je jeszcze, licytując hojnie, zaokrąglając w górę do najbliższych zer. — Najdroższe odkurzacz — podliczyła Ewa. — Mało kurzu, dlatego — przypomniał Kierowca.

Już blisko domu Marcin wskazał im przystanek. — Pojedźmy autobusem — poprosił zmęczony. Uśmiechnęli się krótko, dorosłe, poważniejąc na myśl o nowych biletach i niezbadanych kasownikach. — Chodźmy do autobusu — upierał się Marcin i szukał potwierdzenia w ich rzednących minach. Kierowca już nie słyszał, wbił oczy w zegarek, gdzie cicho szła ku niemu godzina szczytu. Rozwiązał — duszno — krawat i zdjął marynarkę. Z kieszeni się rozległo podzwonne kluczyków.

Wieczorem trzeba było rozpakować rzeczy. Kiedy wkładali je do walizek, wydawały się ogromne i niezliczone. Upychane po jednej stronie, natychmiast wypadały po przeciwnej z podwojoną ciśnieniem energią. (— Pół roku siedzieć na walizkach po to, żeby na koniec nie móc domknąć wieka.) Teraz zaś, wydobyte na przestwór mieszkania, błąkały się samotnie pośród wnek, załomów, trzeba by rozciągać, rozkręcać i rozkładać, dmuchać balony, sypać cukrem w kuchni, rozwijać motki wełny, aby jakoś pokryć rozległy, opuszczony, dziki stęp salonu. Wyprostowali miarkę, włączyli długopis, rozwiedli płaszcz z podszewką, odpruli rękawy. Na stole w pokoju rozłożyli równo dwie wyjęte z pudełka talie cienkich kart. Marcin wydobył ostrza w grubym scyzoryku i ciągle jeszcze szukał w nim ukrytych stron. Gdy w lodówce odkryli dyżurne jedzenie, Ewa szybko ubiła pianę z wszystkich jaj. Rozłożyli ręce i napuścili do wanny wody. Było tego wciąż za mało i światło, jakie tworzyło się między rozproszonymi przedmiotami długo nie pozwalało im zasnąć. Już dobrze po północy ktoś podniósł się z łóżka. W małym przenośnym radiu wysunął antenę.

Nazajutrz wyznaczono im spotkanie w biurze. Mieściło się w takim samym trypokojowym mieszkaniu, jakie zajęli, jakie starali się zająć w sąsiednim domu i chociaż przemyślnie rozstawione biurka, telefony oraz pełne segregatorów regały pod ścianą miały zatrzeć, zastawić wszelkie podobieństwo, trudno było nie widzieć, że urzędnik nie śpiąc, zajmuje mimo wszystko tę dokładnie przestrzeń, na której stoją łóżka, jeszcze na poduszce znać płytkie zagłębienie jego ciężkiej głowy. Przez chwilę walczy z kołdrą, papierów, już wolny, siada i szuka nogą porannych pantofli. Wyprostowuje nogę i przemierza parkiet w poszukiwaniu (przecież) zguby (gdzieś tu były), co-

raz niżej opuszcza, kładzie się w fotelu, niebezpiecznie, poziomo, zaśnie lada chwila. W końcu znajduje, wstaje, szura już bez przeszkód, dzień dobry, bardzo proszę, jest mu miło.

Od kuchni spieszy tłumacz z przekładem uśmiechów. — Witamy, witamy — powtarza jeszcze urzędnik. — Witają, witają — tłumaczy tłumacz.

— Najpierw fotograf, w rynku, łatwo trafić, duży, narożny, za apteką, sklep z aparatami.

— Nie, to chyba zbyt techniczne, mamy zdjęcia, proszę. Mnóstwo zdjęć, zatrzesienie, tak z przodu, tak z profilu, z rodzimą i bez filtra, nad morzem i w górach, z odsłoniętymi uszami i zasnutym czołem, mamy kufer zdjęć, furę, będziemy je długo oglądać wieczorami, fotografie, oto, co nam pozostało, zwijające się w rulon kartoniki, popatrz, jaką tu zrobił minę, to zaraz przed albo tuż po, tutaj na lodzie, wygląda jakbyśmy stali w powietrzu, tyle jeszcze dobrych liści w stercie zbitego śniegu, zima musiała przyjść tak nagle, pierwsze mrozy i już lód w kałużach, grudzień, luty, ślina czarna od węgla, tłuczono w piwnicy, a potem znowu ciepłej, wiatr, błoto i roztopy.

— My mamy zdjęcia — mówi szybko Ewa i z hałasem przetrząsa wnętrze torebki — zrobiliśmy zawczasu, przed wyjazdem, proszę. — Nie, nie — za urzędnikiem uśmiecha się tłumacz — te zdjęcia nie są ważne, nie są tu przydatne, zrobicie sobie nowe, wyraźniejsze, czyste, lepszy kontrast i gładki, utwardzony papier.

— My mamy zdjęcia — mówi nadal Ewa, przykłada je do twarzy — pasują jak ulał, może nie wyszłam dobrze, trochę dłuższe włosy, przecież szybko odrosną, z nawiazką, do ramion, niech rosną, można zapleść, miałam już warkocze, fryzjer drogi, i zimno, ostrzygę się wiosną.

— Nie, nie fryzjer — potrząsa wciąż głową urzędnik — fotograf, w rynku, „Ekspert”, chociaż też od głowy. Twarze twarzy, uśmiechy, nosy, zadarte, proste, orły, sowy, sikorki, cierpliwe dziecięcy ospy, salwy migawek i oślepiające fajerwerki fleszów, blondyni z miasta przychodzili zaraz po ciemnych skórkach z Południowej Ameryki, wyglądających trochę jak ich negatywy, a mimo to fotograf nigdy nie pomylił wywołanych klisz z gotowymi od nich odbitkami.

— Mamy zdjęcia — tłumaczy tłumaczowi Ewa — ile tylko potrzeba, bardzo czule filmy. — Fotografowie — próbuje ominąć tłumacza, my i Marcin, tu widać, stracił pierwsze zęby. — Zęby, zęby — urzędnik pokazuje swoje — najpierw zdjęcia, a potem przyjdzie czas na zęby.

Kupicie też ubranie, oto lista rzeczy. Czapka, szalik, skarpety, peleryna, kurtka. Sweter: jeden, koszule: trzy, i podkoszulki. Sprzedawcy zresztą wiedzą, i zbyteczne mierzyć, będzie na was leżało jak na manekinie. Kupicie sobie książki, gramatykę, słownik. Przewodniki, plan miasta i mapę regionu. Chińskie, oprawne, długie zeszyty do słówek: po lewej jeszcze wasze, a po prawej nowe. — Po lewej jeszcze nasze, a po prawej wasze — tu się zachwiał, zawahał, prosty dotąd tłumacz. — Ich, ich po prawej — znalazł równowagę.

Do pojemnej lodówki kupicie jedzenie. Trzy piętara, im wyżej, tym zimniej. Kartofle i ryż, cebule, mięso. Przyprawy, pieprz i sól, ale ostrożnie z solą. Tymianek, majeranek, prosto z łąki zioła. Herbatę, mocną kawę, świeżą, już zmieloną. Sery i owoce. Włochate kiwi, nietutejsze gruszki, tyle soku, że będzie wam płynąć po brodzie. Chleb wyda się drogi, ale tania mąka, wystarczy ugnieść z wodą, dodać drożdże, cukier. Poczekać, niech urośnie, niech drożdże pracują. Upięczony, znowu lekko posmarować wodą, pachnie jak tam, w południe, w piekarni na rogu. Nie zjadać gorącego, niech przestygnie trochę. Kupicie coś zimnego sobie do popicia, wodę, sodową, piwo, soki, alkohole. Pszczeli miód i to lepsze, pełnotłuste mleko.

— Teraz zęby — urzędnik uklonił się Ewie. Te białe plomby z Polski, one nie są dobre. Kruszą się przy jedzeniu, wpadają do zupy. Będziecie drzeć ze szczęścia, leżąc na fotelu, z otwartymi ustami, nareszcie bez słów. I tylko ślina, grymas, bólu, zrozumienia, łatwiejszy akcent języka, gdy wiertło trafi w nerw. Wszyscy przed wyjazdem zaleczyli zęby, drogo opłacili zagraniczne trutki, przeczekali stare gazety leżące na małym stoliku pod lustrem. Teraz, gdy jeszcze świeże, wymieniają plomby, rozwiercają cement i w gabinecie unosi się lekki zapach spalenizny.

— Ksiądz zapisze was w rejestr, opatrzy was numerem (tu kościół, z braku wiary, najął się do cyfr). Na magnetycznej płytce łatwo zmieści wszystko, co i jak się zowie, czcionką laserową.

Ksiądz zapisze was w rejestr, ale bez spowiedzi, zostanieie z grzechami, ciężkimi jak dzwon.

— Fotograf, ksiądz, dentystka, czy macie pytania?

— Tak, mamy zdjęcia — Ewa powiedziała.

Nieco później odwiedził ich dwustronny tłumacz i, bez oryginału, dodał sprostowania. Dzięki dyskrecji sklepów udaje się czasem poprzestawiać pozycje na liście z ubraniami, za dopłatą wymienić skarpety na sweter, kupić drogą koszulę pod płaszczem dwóch tanich. Nikt, czy trzeba tłumaczyć, na tym się nie pozna, szczególnie jeśli drożej ubierać się w święta. Cukier, wiadomo, całkiem zbyteczny do chleba, a pod bokiem pastora, co niedziela, w kościele, urzęduje w najlepszej katolicki ksiądz. Łatwo, pospiesznie, rzekłbyś na walizkach, odpuszcza wszystkie rzeczy, już z obydwu stron.

Po obiedzie odjeżdża, jeszcze skrzypią płozy, ku oszronionym szkłom wiraży, z łezką w oku, monstancji, nabiegłą od mrozu.

TRZY

W piątek, wieczorem, szli wyświetlać filmy. Świetlica, zamiast kina, znowu się mieściła w zwykłym, bliźniaczym, ledwie opuszczonym przez lokatorów obcych jak aktorzy, trzypokojowym mieszkaniu, z łazienką, kuchnią, prysznicem, nagle niepotrzebnym, oderwanym, dziurawym, suchym, (pieprz i zgorzel). W dużym pokoju zgromadzono krzesła, fotele i kanapę, naśladując rzędy. Z drzwi otwartych na balkon, pierwszy i jedyny, dochodziła łagodna muzyka podwórek, nawoływania dzieci, obok, spoza kadru, turkot desek na rolkach, hymn rowerów, z góry, wiadomo, odgrywany w przyspieszonym pędzie.

W rogu pokoju, wyżej, prawie pod sufitem, gimnastykował się na piramidzie, dwóch krzesel ustawionych na kuchennym stole, na razie jeszcze ciemny, głuchy telewizor.

Opuszczano zaluzje, zaciągano story, już w półmroku, choć głośno, kończono rozmowy, coraz szybsze, w pół słowa, jakby przez telefon, na wyścigi, do Polski, szybko mów jak zdrowie.

Operator o ciszę prosił i przeproszał za nie najlepszą jakość pożyczonej taśmy. Potem długo, jak malarz, dobierał kolory, tak że cera spikera (który nic nie wiedząc dyktował im z ekranu prognozę pogody) zmieniała się co chwilę, żółta i ziemista, pobladła, ogorzała, czerstwa i czerwona. W końcu go dził je jakoś, ale wbrew prognozie telewizor cierpliwie ilustrował mżawkę, ziarnistą mgłę, ponurą (mimo że czerwony rozpraszał ją nieznacznie neonowym światłem).

Filmy wynajmowało się, na dobę, w niewielkim sklepie, w rynku. Przypominał trochę dziecięcą bibliotekę, bo okładki kaset gdzie nie spojrzeć błyszczały od nadmiaru zdarzeń, zbytecznych przygód, gromów z nieba w stanie wojny, w kółko dramatów, zwrotów, aby zgubić pościg. Na koń, na szyję, pod, na wozie, szosą, za zaginionym wyplakała oczy. Spomiędzy rozstawionych nóg kobiety, z wypukłym lustrem pończochy na łydce, wylaniał się pociąg, a na jego dachu zgarbiony uciekinier złorzeczył ucieczce. Z tyłu, uważaj, zdrada, nocą, gdzie pieniądze, z powrotem, most, pod wodą, ciosy, choć na ośle. Rok później, w Europie, nadal jeszcze spadał kopnięty w zamieszaniu gdzieś w przepaść rewolwer.

Z więzienia i po latach, przypadkiem, przejazdem, widzi tamtą kobietę w aucie obok, światła przez chwilę ich trzymają na sąsiednich pasmach, potem rozjazd i odjazd, kamery nad miastem.

Wypożyczaniem filmów, w piątek przed południem, parała się komisja wyłoniona z trudem w tajnych wyborach spośród sześciu kandydatów. Jej członkowie nie mieli wdzięcznego zadania, musieli godzić sprzeczne gusty publiczności, dać zabawić się, setnie, odprężyć i rozerwać, potem do łez poruszyć, a wszystko ku nauce. Wielkie twarze, nazwiska, znane nosy i czoła pozwalały niekiedy pogodzić zwaśnionych, podobnie jak

tytuły owiane legendą, najdłuższy dzień, w południe, most na rzece, żądło.

Przed filmem, zamiast reklam widniały na ścianach podklejane plakaty z pisma „Poznaj kraj”, zwiedzajcie (póki jeszcze) Wrocław albo Kraków, pojezierze pomorskie (sklejka na kajaku łuszczyła się od dziobu), potem okno, dwa spiczaste zdjęcia Szczyrku, znowu ściana, Wilno (to dodatek: ktoś dopisał: na).

Pierwsza projekcja miała bez przeszkód, mordercą się okazał niemal jeden z nas, pozostałby nieznanym, przeliczył się tylko dosłownie o milimetr, o swój jeden włos, znaleziony w mieszkaniu biednej pani Battler, świeć panie nad jej duszą, zapalano światło, ktoś otwierał, bo duszno, szerzej drzwi na balkon i telewizor zwykłą już przybierał twarz, sportowca, który skoczył hen daleko w dal.

Młodszy i większość kobiet opuszczała salę (niektóre jeszcze wróca, tracąc wątek), gdy mężczyźni szli zapalić, w kuchni, w kularach, żeby telewizora nie zasłaniał dym.

Wrócili na gotowe, kiedy bohaterka miała już tego dosyć, zostawiła męża. Dzwoniła po taksówkę, przyjeżdżała, żółta, szofer nosił walizki przeklinając ciężar.

Zdejmował z niej ubranie, starannie jak krawiec (choć mogło się wydawać, że przebiera miarę), i na koniec obrączkę, ta stawiała opór, dobrą chwilę i wtedy, blisko, na ekranie, żarzył się fosforyczny, za długi paznokciec. Wreszcie machnęła ręką i wszystko, jak odjął, ginęło znów w niezdrowym hotelowym mroku. Nie wiadomo dlaczego pozostała w butach i teraz chcąc oszczędzić czyste prześcieradło, wodziła nimi w górę, a obcaso próżno szukały gdzieś dla siebie po bokach oparcia.

Mężczyźni się zmieniali, Wiera zostawała (nie bez powodu się nazywa Wiera), bili przed nią pokłony, czołem o poduszkę, potem nad nią, unosząc — by się nie uderzył o kant lustra nad łóżkiem — łysiejące ciemię, trzymali jej twarz w dłoniach, aby piła gorzkie, z którego może lepiej, że nic nie urosnie, głębokimi łykami, haust za haustem, duszkiem, do dna, gardła, jak syrop lepkie ich nasienie.

Wieczorem szła przez miasto, im dalej, tym lepiej, czasami mignął na nią, jeszcze pusty, bar, kostka i asfalt, mokre, wiodły ją przed siebie, prostą, równą ulicą, aż po Clinton Park, za nim skręcała na dół, w stronę plaży, stała, długo na brzegu, moknąc, i liczyła piach.

Wracała, inną drogą, przez molo i wiadukt, nad jasnym pasmem światła od aut na Riverside.

Szła.

A tymczasem kim jest ta druga kobieta, u niej w dawnym mieszkaniu, jak u siebie w domu, nastawia płytę, cicho, a więc Wiera, tknięta, jakby przecuciem złego, przyśpiesza i z tonu muzyki, już głośniejszej, słyhać, że się zbliża, z każdym krokiem, na szpilkach, których trzask o kostkę rozchodzą się do-

nośnie, w poprzek, wzdłuż ulicy, i miesza się z muzyką, w tym samym głośniku, coraz szybszy, silniejszy (jakby szła po płycie), z refrenem, że niczego, choć tak rzewny, nie żal.

Kobieta spaceruje po mieszkaniu, siada, między wierszami czyta wczorajszą gazetę, odkłada ją, w łazience sięgając po pierwsze z brzegu perfumy, ciężkie, „zapach grzechu”, tani, słyszy dzwonek, natrętny — ręka na framudze — niedziela, o tej porze, deszcz i cóż po ludziach.

Ina, Wiera, skąd tutaj, tyle lat, nie wierzę, i nie przez próg, uważaj, parkiet, bo zalejesz, zaraz, ręcznik, nie trzeba, głupstwo, wyschnie, gorzej włosy, obcięłaś, dawno, szkoda gadać, wiele zdarzyło się od czasu, gdy ostatnim razem, mów lepiej, co u ciebie, koniec, tak, szaleje, skądże, na umór, wszędzie, i co noc na dworzec, do mamy, a co u niej, kiedy, w lipcu, Boże, to z upału, z udaru, z prochu w popiół, pogrzeb umierał ze spiekoty, daj już spokój, wiele by opowiadać, chodźmy — obejmuje Wierę.

Znowu ubranie, pościel, wracał dawny wątek, obracany na nowo w głowach, łóżka, w poprzek, z drugiej strony, na odwrót, od tyłu i do ściany, na wspak jak w palindromie, do góry — w dół — nogami, trzymający do końca w napięciu, objęty ramieniem, ramię w ramię, jakby autor ramę opowiadania oparł na ramie tapczanu, płótno wątek przez dziesiątę z samych nóg i ramion.

Scenariusz się w tym miejscu jakby wyczerpywał, dykcja aktorów umarła w pół zdania, zniknęły też napisy, bo i co tłumaczyć, zasłaniające akcję u dołu ekranu.

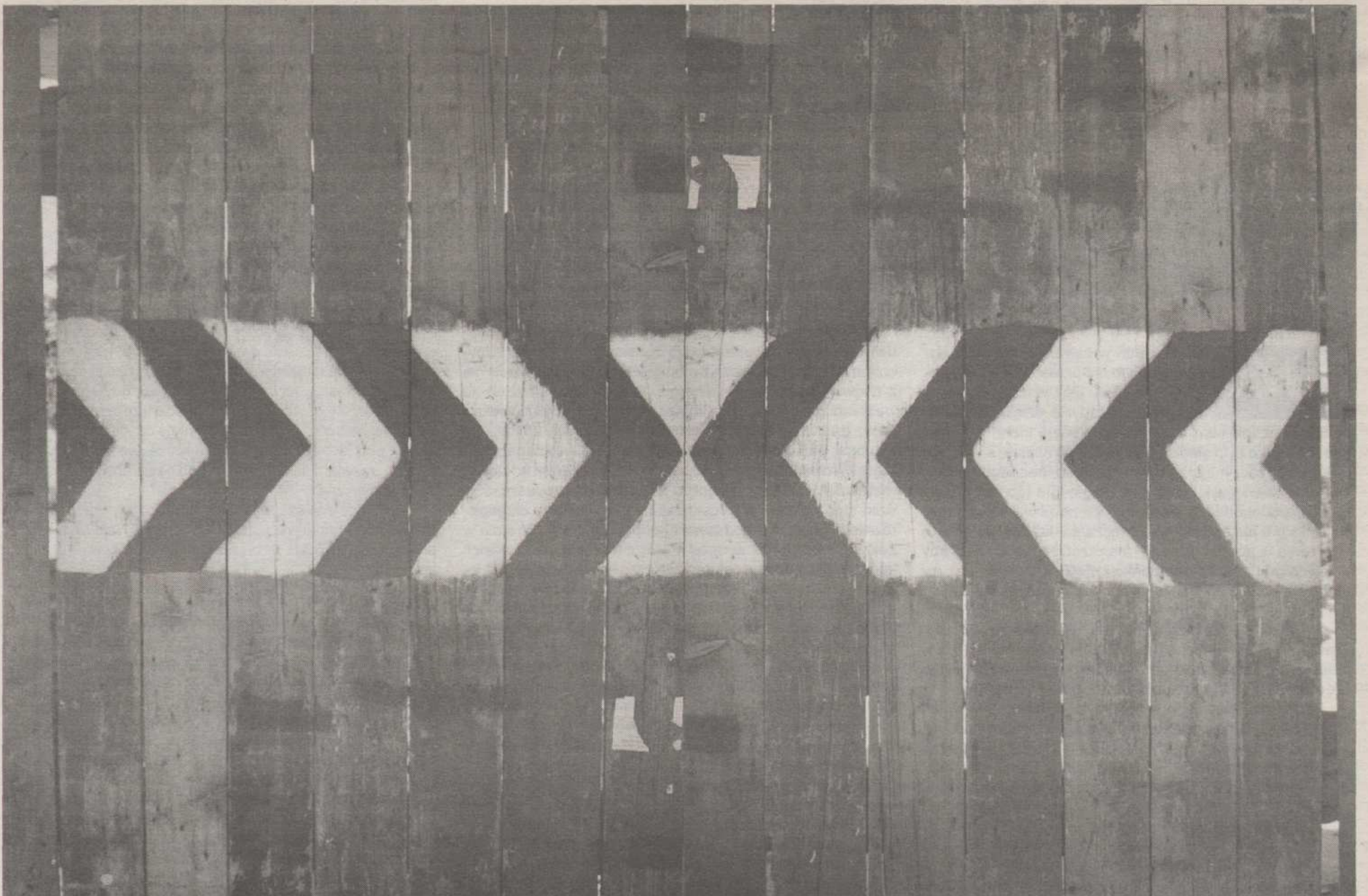
A przecież tu się należało niemało wyjaśnień: pogrzeb matki i rozwód zbyte w jednym zdaniu, kopa lat, wir wydarzeń, zawłóci wątku, na wypródkę, nieskładne, nie poukładane. Skreślony drżącą ręką atlas anatomii, stenogram zwierzeń Wierę — u niej na kolanie.

A przecież gdzież za taśmą — wąską, oszczędną, na którą się w pośpiechu rzucał co rusz amant — stał inny świat, otworem, ale nie od klucza, i szerzej nad East (wschodnia) River rozciągnięty. Powolne pory roku, nowe dni, i ludzie, upalny tamten lipiec (przeżroczyły grudzień), długie zdania, dojrzałe, pełne śmiesznych imion, idące jak przez pole, w równych rzędach, rymy, panny, owszem, ubrane, w tafty, krynoliny, kuzynki niedorośle, niebawale w kinie. Stał inny świat, gościnnie, szeroki jak saga.

O tym-że grzech jest milczeć i nie szkoda gadać.

Film się jednak niechybnie chylił ku końcowi, raz jeszcze podejmując porzucone wątki, w ostatniej, desperackiej sekwencji, zbiorowej, w której na wzór muzyków w jazzowym big-bandzie, aktorzy grając jeden, wspólny wszystkim temat, dawali też popisy solowe, niepomni, że grają na tym samym, wzdętym instrumencie.

Zbigniew Kruszyński



Anna Frajlich **Z** nowojorskiej perspektywy



Wtorek, 16 sierpnia

Z naszym młodszym pokoleniem poszliśmy na *Arkadię* Toma Stopparda, która już od pewnego czasu szła na scenie Beaumont Theater w Lincoln Center. Akcja sztuki odbywa się w dwóch planach czasowych, w wieku XIX i obecnie. Dwoje współczesnych badaczy konkuruje ze sobą w odszyfrowywaniu skandalicznych zajęć, które miały miejsce w 1809 roku w pewnej posiadłości aristokratycznej.

Bałam się odrobinię, że Paweł i Colleen będą zniechęceni „literackością” tej sztuki, ale wręcz odwrotnie, bardzo im się podobała. Oni w lot chwytały dialog, który wypowiedziany w tzw. British English umykał mi w znacznym stopniu. Ja chwytałam, za to wszystkie literacko-kulturowo-trendowe aluzje, które do nic niekoniecznie docierały. Może to jest najlepsza ilustracja Ingardenowskich warstw dzieła literackiego. Zresztą tekst był bardzo gęsty, przypuszczam, że i urodzeni Amerykanie niezupełnie wszystko chwytały. I tu kłania się Eliot, który twierdził, że nie trzeba znów tak wszystkiego rozumieć.

Sala wypełniona do ostatniego miejsca wybucha raz po raz śmiechem. Sztuka zdaje się mieć w sobie wszystko: postmodernizm i feminizm, naukowo-detektywistyczny dreszcz i tę siostrzyczkę, której Szekspir prawdopodobnie nie miał, a która byłaby genialna, gdyby ją miał. Bardzo dużo aluzji do Byrona, które nawet dla wykształconego Amerykanina są mało przejrzyste. Z tym małym rozeznaniami w twórczości Byrona stykają się wszyscy, którzy uczą tu literatury rosyjskiej i polskiej. Twierdzenie, że Lermontow to rosyjski, a Słowacki to polski Byron wywołuje umiarkowany rezonans wśród studentów. Ciekawe, czy wyjście tej sztuki poza teatr ściśle repertuarowy, jakim niewątpliwie jest Beaumont, przyczyni się do rezurekcji Byrona w amerykańskiej świadomości kulturowej?

Piątek, 25 sierpnia

Wladek przyszedł z pracy wcześniej, już o szóstej. Zjedliśmy w kuchni zapę i poszliśmy na przystanek autobusowy, na 79 ulicę, aby przejechać miasto w poprzek do teatru na 76 ulicy, gdzie grają *The Three Tall Women* (Trzy wysokie kobiety) Albee’ego. Już raz podchodziliśmy tę sztukę, ale nie mogliśmy się zdecydować na wydanie 90 dolarów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy sztuka nabrała ogromnego rozgłosu, a fakt, że teatr udaje się na ogólnokrajową turę skłonił nas do ponownej próby. A także anons w gazecie, że bilety są po 25 dolarów. Tyle możemy wydać. Tymczasem okazało się, że musiałam przeczytać to w poniedziałkowej gazecie i cena dotyczyła tylko poniedziałku. To jest amerykański *show business*, nie tylko nie przestają grać w lecie, nie tylko zmieniają w lecie jedną obsadę na drugą, ale jeszcze w poniedziałek grają za pół ceny, bo poniedziałek nie jest „teatralnym” dniem. Pomijając już fakt, że każdego tygodnia są przynajmniej dwie popołudniówki. Mając godzinę do ewentualnego spektaklu, jedziemy trzydzieści ulic niżej, gdzie sprzedają ulgowe bilety, a nuż będą bilety na tę sztukę. Jeżeli nie, pójdziemy do kina. W dół jedziemy autobusem, wieczór jest piękny, nie jest ani gorąco, ani duszno. W takim dniu Manhattan jest cudownym miej-

scem. Wladek, który rzadko bywa w tej części miasta, nie może się napatrzeć. Jest po siódmej, po godzinach szczytu, choć jeszcze tu i ówdzie widać ludzi z teczkami lub zakupami robionymi po drodze do domu. Po śpiech na Broadwayu to już ten pośpiech świąteczny do teatru, na koncert, zupełnie inne tempo. Wszystkie neony włączone chociaż jeszcze dzienne światło. Dzięki temu, że Broadway idzie na ukos, widać stąd także ruchome neony reklamowe na Times Square przy 42 ulicy. Jest to typowo nowojorska uroda, ale jej jakość zmienia się na lepsze. Powoli znikają meliny, kina pornograficzne i zapewne — burdele. Już tu i tam wznoszą się nowe budynki. I to wyjątkowe światło, które w taki przeźroczysty wieczór jak dziś odbija się inaczej od każdej powierzchni.

Na Duffy Square, na którym często kolejka okręcona jest wokół kas kilkakrotnie, pusto. Nie ma biletów na jakieś atrakcyjniejsze spektakle. Na nasz też nie. Realizujemy więc nasz plan zapasowy — kino. Z filmów, które od dawna chcieliśmy obejrzeć, najbliższy grają tuż koło Carnegie Hall, na 57 ulicy i Siódmej Alei. Mamy dużo czasu, możemy powoli przejść Broadwayem i skręcić w 57, jedną z najelegantszych ulic Manhattanu. Tu po obu stronach osi, czyli Piątej Avenue, mieszczą się najelegantsze sklepy i restauracje, co nie zawsze w odniesieniu do tych ostatnich, znaczy — najlepsze; do dawniejszych legendarny „Russian Tea Room”, z nowszych „Hard Rock Cafe” i słynna głównie ze swych hollywoodzkich udziałowców „Planet Hollywood”. Kiedyś z Ewą Nowakowską zaliczyliśmy obydwie. Właśnie mijamy olbrzymią kolejkę do „Planet Hollywood”, nie ma tu chyba żadnego trzydziestolatka, może nawet nie ma dwudziestopięciolatka. Stoją posłusznie elegancko, żeby zjeść tę wymyślną pizzę lub jakieś inne danie wśród autentycznych rekwizytów i kostiumów filmowych rozwieszonych na ścianach. Za to na zewnętrznej ścianie przybyła nowa atrakcja — płyty z odcisniętymi w nich rękoma gwiazd filmowych. Odmiana odcisniętych stóp, które znajdują się w Hollywood. Niezły pomysł i urozmaica długie czekanie pod restauracją.

Znużony słońcem: po angielsku „znużony” powinno być raczej przetłumaczone „burnt out”, ale czy można powiedzieć „burnt out by the sun”? — nie. Mój kolega z wydziału, Frank Miller, autor książki *Folklor for Stalin*, uważa, że najlepiej byłoby przetłumaczyć to na „struck by the sun”, lub „stricken”. Motyw „znużenia, czy wypalenia słońcem” ma wiele warstw w tym filmie, z których niebłaha jest ta, że Stalin nazywany był przecież w niejednym tekście słońcem.

Również przekład „burżuazji” na „nobility” nie wydaje się szczęśliwy. „Nobility” zabijano podczas francuskiej rewolucji, w latach trzydziestych w Rosji wróg klasowy to nie była tylko „nobility”, to prawie każdy. Okazuje się, że nie na wszystkich film ten zrobił równie silne wrażenie. Ale na nas zrobił.

Kiedy w końcowej niemal scenie nad polem wznosi się balon unoszący ogromnych rozmiarów portret Stalina i stojący tam Mitia podnosi rękę do czoła, z pewnym ociąganiem co prawda, bo przecież jest w trakcie swojej „mokrej roboty”, którą dla tegoż wykonuje, a

także ponieważ jest jednak równie inteligentny co cyniczny. Otóż w tej chwili przypomina mi się nagle „harcerski” obóz ideologiczny w Cieplicach w pięćdziesiątym którymś, gdzie w sali Rady Drużyny jedną ścianę zajmował portret Stalina wśród udrapowanej czerwieni. Nasz druh, komendant i główny wychowawca poinstruował nas, członków rady, żeby salutować do tej ściany przy wchodzeniu, nawet kiedy nikogo tam nie ma.

Komendant bardzo nas lubił, nazywał nas „rebjata” używając tej formy jakby to był żeński rzeczownik zbiorowy, a więc mówił „ta rebjata”, jak mówi się „ta szlachta”. Nauczył nas też patriotycznego refrenu, który mieliśmy zawsze odśpiewywać na jego widok:

Nasi harcerze to my
przyszli żołnierze to z nas
serca w ofierze

składamy ojczyźnie u twoich stóp.

Sielskie warunki w Cieplicach niewspółmierne są z obrazem terroru na filmie, ale portret Stalina ten sam i to samo salutowanie.

Po wyjeździe z Cieplic długo nie słyszałam o naszym komendancie, aż dopiero w Stanach, po ochłonięciu z emigracyjnego szoku, uświadomiłam sobie nagle, że ten specjalista od indoktrynacji Polonii, to właśnie on, druh komendant.

Cały film oparty jest na motywie piosenki *Ostatniej niedzieli*, która tutaj ma naturalnie inne słowa. Przedwojenne polskie tango samobójców, tutaj staje się tangiem zabójców i zabijanych. W *Białym* Kieślowskiego ta melodia gra rolę polskiego znaku rozpoznawczego. Ciekawe skąd się wzięła? Czy z Polski przedostała się do Rosji mimo tak szczelnych wówczas kordonów?

Czy to przypadek, że zarówno w filmie jak i sztuce centralną osobą jest mała dziewczynka? Każda o nieprzeciętnej inteligencji, ostrym spojrzeniu, każda pełna życia i ufności. Chwytają w lot i to co chwyciły obdarzają blaskiem swego uczucia, giętkością myśli i ruchów. Obie kończą tragicznie, jedna ginie, być może śmiercią samobójczą, druga na dwadzieścia lat swego życia ginie w czełściach sowieckiego łagru, aby doczekać rehabilitacji w 1956 roku.

Czy pokazuje nam się, że to, co prawie wdzięczne, obdarzone, musi zginąć, aby nie zostać skorumpowane?

Poniedziałek, 4 września

We wspomnieniach Moniki Żeromskiej, które — jak wszystko — czytam z opóźnieniem jest między innymi opis chodzenia z ojcem po zakupy i jak tam do sznurowadła przywiązywano patyczek, aby łatwiej było trzymać paczuszkę. Pakowanie zakupów też już może być tematem studium socjologiczno-historycznego, nawet na podstawie naszych własnych doświadczeń. Przed wyjazdem z Polski wszyscy nosiliśmy siatki. Były zresztą różne mody na siatki, sznurowe, nylonowe, z grubszych kolorowych żyłek itp. Popularne były dowcipy na temat rosyjskich „awosiek”, czyli siatek noszonych zawsze na wszelki wypadek.

Zakupy w Rzymie były dla nas niemal szokiem: wszystko jest i trzeba wybierać, a skąd wiadomo, co wybrać. No i to pakowanie, wkładano nam wszystko w wielkie, masywne papierowe torby z rączkami, które z trudem, ale zawsze całe donosiliśmy do dość

odległego mieszkania. Kiedy przyjechaliśmy do Stanów, supermarkety okazały się jeszcze większe i zaważone taką ilością towaru, że gdyby nie ta włoska „kwarantanna”, która w jakiejś mierze przygotowała mnie do szaleństw wolnego rynku, niewątpliwie przeżyłabym znacznie głębszy kryzys nerwowy. Tu należało przede wszystkim kupić metalowy wózek i bez niego w ogóle do sklepu nie wchodzić. Na zakupy chodziło się raz w tygodniu i kupowało wszystko, co było potrzebne, co się pamiętało lub zapisało. Czas zaoszczędzony na samodzielnym wrzucaniu do wózka traciło się w dość długiej kolejce do kasy, jako że wszyscy robili zakupy poważnie podczas weekendu. Zakupy pakowano w wielkich rozmiarów torby papierowe, ale już bez rączek. Kasjerzy przechodzili specjalne szkolenie, reszta zależała już od ich indywidualnej inwencji. Dobry pakowacz potrafił zmieścić w wózku osiem toreb lekko. Ciężkie artykuły wkładano na spód torby, którą wypełniano do połowy. Kupujący wiedzieli już, kto pakuje najlepiej i przy tej osobie ustawiali się w kolejce. Często przy kasie pracowali uczniowie szkół średnich w ten sposób zarabiając na przyzwoite kieszonkowe. Nasz Paweł też pracował w dziewiętej chyba klasie. Często wybiegałam na przystanek, aby zabrać tornister i przynieść mu służbową marynarkę. Paweł pakował bardzo dobrze i wiele naszych sąsiadek ustawiało się do niego w kolejce.

Ale w pewnym momencie wspaniałe sztywne torby papierowe, które potem przez cały tydzień używano jako jednorazowe kosze na odpadki, zaczęły znikać. Możliwe, że związane to było z ochroną lasów i oszczędnością papieru, ale najprawdopodobniej z faktem, że plastikowe „reklamówki” są po prostu tańsze. Pakowanie tygodniowych zakupów do toreb plastikowych stało się męką. Nijak nie dało się opanować chaosu wszystkich puszek, buteleczek, papierów, kurczaków, tuńczyków itp. Wszystko to przewalało się na różne strony powodując nieopisaną frustrację.

Kiedy w pewien marcowy poranek, podczas największego sztormu śnieżnego zegnaliśmy Brooklyn, na rogu ulicy przy obłożonym zbiorniku na śmieci zostawiliśmy nasz wózek na zakupy. Tak się składa, że teraz supermarket znajduje się w naszym budynku. Ponadto minęły już niejako czasy, kiedy robiło się zakupy na tydzień. Ludzie, a wśród nich i my, staramy się kupować codziennie coś świeżego. Odczuwa się też pewną ambiwalencję w stosunku do wszechobecnych „reklamówek”. W każdym sklepie dają naturalnie taką torebkę każdemu, kto kupi chociażby jedną bułkę, ale ludzie przejęci ochroną środowiska i urodą miasta, które szpecą te wiszące czasem nawet na drzewach okropne torby, starają się brać ich jak najmniej. Przynoszą swoje do sklepu, proszą, aby nie dawano im podwójnych (co jest praktykowane na porządku dziennym) lub... wyciągają swoje siatki. Siatki?! Kiedy zobaczyłam je pierwszy raz, takie jak pamiętałam z Polski, zwykłe, sznurowe, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Ale są na sprzedaż, nawet w naszym sklepie. Ja jeszcze nie kupiłam. Poczekam, aż zaczną zawiązywać sznurkiem i dodawać patyczek. Tak jak to opisuje Monika Żeromska.

Ryzyko wyrozumiałości

Ryszard Matuszewski
Olśnienia i świadectwa.
Od Leśmiana do Barańczaka

GRAF-PUNKT, Warszawa 1995

Najnowsza książka Ryszarda Matuszewskiego, autora wielu tomów krytycznoliterackich, wstępów do dzieł zebranych i wybranych różnych polskich poetów oraz licznych podręczników z literatury współczesnej do wyższych klas licealnych, które to podręczniki uzupełniane i poprawiane funkcjonują w szkołach do dzisiaj, to kolejny zbiór szkiców, omówień i recenzji. Od dotychczasowych różni go jednak to, że jest on bardziej osobisty, bardziej — rzekłbym — autotematyczny i autorefleksyjny. Zamieścił w nim bowiem szkice biograficzne o dwóch wybitnych pisarkach oraz kilku poetach, z którymi wiązały go wspólne losy życiowe i zawodowe.

Matuszewski pisze najchętniej o zjawiskach literackich, które go zafascynowały czy wręcz olśniły. Tych „olśnień”, o których mówi tytuł tomu, doznał przy obcowaniu z dziełami: Wisławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej, Zbigniewa Herberta, Artura Międzyrzeckiego, Tadeusza Konwickiego, Andrzeja Bobkowskiego i Stanisława Barańczaka.

W poezji Szymborskiej i Lipskiej zachwyca go przede wszystkim pełen filozoficznej głębi światopogląd poetek, wyrażany w sposób nader „esencjonalny” i prosty, światopogląd oparty na deklarowanej niewiedzy i wątpieniu. Np. niepewność jako atrybut naszego istnienia na ziemi to dominujący wg Matuszewskiego wątek w wierszach Lipskiej. Poezja Herberta natomiast to dla niego wspaniała artystycznie manifestacja etyki heroicznej, ale jednocześnie afirmacji dla świata wielkiej sztuki. Międzyrzecki jako autor *Wojny nerwów* zafascynował Matuszewskiego umiejętnością znalezienia poetyckiego wyrazu dla doraźnej aktualności zdarzeń i przeżyć okresu stanu wojennego, a *Lawa* Konwickiego stanowi wielkie dzieło sztuki filmowej dzięki odwadze i twórczej inwencji w interpretacji Mickiewiczowskich *Dziadów*.

Lektura *Szkiców piórkami* Bobkowskiego była dla Matuszewskiego niespodziewanym odkryciem artystycznym i poznawczym walorów dziennika, a właściwie notatek z podróży po Francji nieznanego nikomu, dwudziestokilkuletniego Polaka.

„Wydaje mi się — stwierdza krytyk — że nikt z piszących, i to nie tylko w naszej litera-

turze, nie odmalował z taką plastyką, takim darem bystrej obserwacji, taką umiejętnością widzenia szczegółów i zarazem wychwytywania rysów charakterystycznych — Francji z lat okupacji”.

Stanisław Barańczak to zupełnie osobna sprawa! W obszernym szkicu, wymownie zatytułowanym *Czarodziej z Harvardu*, Matuszewski nie tylko w sposób wnikliwy omawia imponujący dorobek Barańczaka w wielu dziedzinach literatury, ale stara się wydobyć z własnych wspomnień kilka anegdot, które przybliżają czytelnikom tę nieprzeciętną postać, kojarzącą się już raczej z instytucją literacką niż osobą.

Kończąc esej o poezji Lipskiej Matuszewski wyznaje:

„Pod tym względem zgadzam się z Ewą Lipską, gdy chodzi o jej niechęć do opisu. I ja także niechętnie kaleczę piękny krajobraz jej poezji własnymi słowami” (podkr. B.R.).

Wyznanie bardzo charakterystyczne dla sposobu omawiania przez Matuszewskiego dzieł wielkich twórców. Stara się on tylko pośredniczyć pomiędzy autorem a czytelnikiem. Proponując jedną z możliwych interpretacji dzieła inspirowane do aktywnej lektury. Dlatego cytaty odgrywa w jej tekstach istotną, z góry zamierzoną rolę.

Być może na taki sposób uprawiania krytyki literackiej wpłynęła wieloletnia praca nad podręcznikami dla licealistów. Zwracam jednak na to uwagę, ponieważ obecnie panuje w krytyce tendencja wręcz odwrotna: dzieło często staje się tylko pretekstem do „wielce uczonych” rozważań filozoficznych lub teoretycznych, będących raczej rodzajem ekspresji osobowości czy poglądów krytyka niż próbą odczytania utworu.

Sceptyczny dystans do tzw. prawd dziejowych i nieufny stosunek do zastanej rzeczywistości, tolerancja dla ludzkich słabości, ale i szacunek dla „elementarnych odruchów moralnych” — to cechy, które Matuszewski ceni najwyżej u omawianych autorów. Pozwalają one bowiem widzieć świat bez dogmatycznego zacietrzewienia, bez uprzedzeń i kompleksów. Matuszewski z perspektywy doświadczeń wielu naszych pisarzy i swoich

własnych przestrzega zarówno przed idealizacją polskiej rzeczywistości i historii, jak i pryncypialnym potępieniem lub wyszydzeniem.

Pisze też o tym z okazji dzienników Dąbrowskiej i Nałkowskiej, oraz — bardziej konkretnie — omawiając biograficzne meandry Ważyka, Jastruna i Żółkiewskiego. Posłuże się dłuższym cytatem:

„...Jakże często pierwszym źródłem zniewolenia przez doktrynę, zwłaszcza w krajach, gdzie nie stykano się jeszcze naocznie z jej społecznymi skutkami, było Hegłowskie przekonanie, że jeśli teoria nie zgadza się z faktami, to tym gorzej dla faktów. Taki był przecież tok myślenia wielu intelektualistów wiezionych przez marksizm, i o tym też zresztą pisze Miłosz w *Zniewolonym umyśle*. Może zgoda na pierwszą, jednostkową ludzką krzywdę, wyrządzoną w imię szczytnych haseł naprawy całej ludzkości, była przesłanką ślepej wiary w moc tego, który doktrynę uosabiał, w nieuniknioność jego nakazów? I dopiero kryzys struktury władzy, w imię doktryny sprawowanej, stwarzał przesłanki otrąśnięcia się ze stanu zniewolenia? (...)

To należy mieć na względzie śledząc przebieg ówczesnych procesów wyzwalania się umysłów spod presji czegoś, co do niedawna było najszczytniejszą żywnością własną wiarą, a teraz stawało się z wolna straszliwą pułapką i potrzaskiem totalitarnego systemu”.

Taki, pełen zrozumienia, stosunek do twórców, którzy dobrowolnie ulegli zniewoleniu przez komunistyczny reżim, jak np. Jastrun, Ważyk czy Żółkiewski, lub mu się zdecydowanie nie przeciwstawili, jak Dąbrowska i Nałkowska, został przez krytyka sformułowany polemicznie wobec różnych radykalnych ujęć problemu, nazwanego najbardziej drastycznie przez Jacka Trznadla jako „hańba domowa”.

Postawa zajęta przez Matuszewskiego w tej sprawie nie mogła być inna nie tylko dlatego, że wynika ona w jakimś stopniu z własnych gorzkich i bolesnych doświadczeń. Opiera się bowiem na jego hierarchii wartości, której dawał często wyraz interpretując dzieła mistrzów — chociażby w omawianym tomie.

Pisałem już o tym wyżej, warto jednak zastrzymać się jeszcze chwilę przy dwóch bardzo ważnych dla książki Matuszewskiego esejach: *Nad Dziennikami Marii Dąbrowskiej* i *Tylko dla kobiet?* Dąbrowska stała się ostatnio celem niewybrednych ataków, m.in. dwóch skądinąd utalentowanych i zasłużonych krytyków, Wiesława Pawła Szymańskiego i Jana Walca, którzy w pamfletowej konwencji wytknęli autorce *Nocy i dni* serwilizm wobec komunistycznej władzy oraz inne słabości. Matuszewski nie idealizuje Dąbrowskiej, ani Nałkowskiej, stara się ponad ich sła-

bostkami i pomyłkami dostrzec to, co uczyniło je dla polskiego społeczeństwa moralnymi autorytetami.

„Jeśli nawet pisarka myliła się w ocenach poszczególnych, to w zarysie zasadniczym głos jej zdaje się wyrażać to, co w Polsce budziło zawsze respekt i szacunek i mądrą, niezależną postawę «człowieka myślącego»” — pisze Matuszewski o Dąbrowskiej, ale mniej więcej tak samo mógłby napisać o Nałkowskiej. Porównując postawę obu pisarek znajduje nawet więcej zalet u autorki *Granicy*, podkreślając brak elementów ksenofobii w jej poglądach i dalekowzroczność w ocenie polskich i zagranicznych zjawisk literackich.

Olśnienia i świadectwa... Zrozumiałe, że przy omawianiu tylu autorów i ich dzieł więcej znalazło się w książce „świadectw”. Z recenzentkiego obowiązku wymieńmy, o kim jeszcze pisze Matuszewski. Tom otwiera rzetelny, jak zwykle u Matuszewskiego, esej o twórczości i życiu Leśmiana, będący w pierwotnej wersji wstępem do wydanego przez PIW wyboru poezji. Poza wspomnianymi wyżej pisarzami i poetami omawia *Generała Arbuza* Mariana Brandysa, książkę o karkołomnych zakrętach polskich dziejów na przykładzie biografii Józefa Zajączka, *Wyjścia z milczenia* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, zebrany przez Zdzisława Kudelskiego tom wypowiedzi dotyczących polskich autorów powojennych, niezwykłą powieść *Mandaliana*, opartą na autobiografii pt. *Czerwona orkiestra*, tom poezji Różewicza *Na powierzchni poematu i w środku*, twórczość Jerzego Ficowskiego.

Do książki, której wyznacznikami są pisarze i poeci od — jak czytamy w podtytule — Leśmiana do Barańczaka, nie pasuje recenzja z monografii Marka Zalewskiego *Przygoda drugiej awangardy*. Sprawia ona wrażenie tekstu przypadkowego.

W eseju o Bobkowskim, napisanym w roku 1988 i uzupełnionym po kilku latach, przytacza Matuszewski znamienne zdanie z listu autora *Szkiców piórkami* do Jerzego Giedroycia:

„Ludzie nie chcą być wolni, nie chcą ponieść ryzyka wolności”.

I komentuje: „Czyż sprawa owego ryzyka wolności, które Bobkowski obsesyjnie podkreślał, nie stoi dziś w centrum naszych aktualnych dyskusji o tym, jaka ma być Polska?”

Wolność — to wielkie wyzwanie: dla ludzi sztuki, ludzi polityki i zwykłych zjadaczy chleba. Jaki uczynimy z niej pożytek w przyszłości? Teraźniejszość nie napawa niestety optymizmem, mimo że pojawiają się od czasu do czasu również i takie bezpretensjonalne, wyważone w sądach i ocenach książki jak *Olśnienia i świadectwa*.

Bogdan Rogatko

Książki nadesłane

Krystyna Miłobędzka, *Przed wierszem. Zapisy dawne i nowe*, Fundacja „bruLionu”, Kraków — Warszawa 1994.

Wybór wierszy poetki niezwykle oryginalnej i słabo docenionej przez naszych krytyków. Za tom ten autorka otrzymała nagrodę Fundacji Kultury. Książka składa się z rozproszonych dotąd po czasopiśmie cyklów *Anaglify*, zapisów z tomów już opublikowanych i zapisów z nowego cyklu *Imiesłowy*. Piękne opracowanie graficzne Andrija Maruszczko.

Rafał Rżany, *Wtedy nic jeszcze...*, Rzeszów 1995.

Tom czwarty Serii Poetyckiej rzeszowskiego kwartalnika „Fraza”, a drugi w dorobku autora (rocznik 1973), który studiuje nauki polityczne i dziennikarstwo na UJ. Autor posłowania do tego tomu, Bronisław Maj, pisze:

„«Byłem, jestem, będę»... To może najciekawszy, a zważywszy wiek autora tych wierszy — najbardziej osobliwy, zastanawiający element świata poezji Rafała Rżanego: nieustanne zmaganie się z czasem, z jego różnymi formami, różnymi sposobami oddziaływania na nasz los, nasze widzenie rzeczywistości i siebie samych. (...) Pamięć — staje się jeszcze jednym sposobem istnienia świata i jego poetyckim obrazem, jego materia...”

Jacek Kolbuszewski, *Kresy*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

Druga po *Dwudziestolecu literackim* Zawady książka z nowej serii „A to Polska właśnie” autorstwa historyka literatury polskiej i literatur zachodniosłowiańskich, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego.

„Któż o tym myśli i kto o tym pamięta, że słowo «kresy», wciąż jeszcze zdolne w tysiącach Polaków budzić niezwykle i silne wzruszenia, wywołujące u niejednego tyle wspomnień, słowo bezwiednie uznawane za od dawna w polszczyźnie zakorzenione w najpowszechniejszym, a właściwie i jedynym znaczeniu, wiążącym je z byłymi obszarami polskiej państwowości, w tym przestrzennym znaczeniu żyje w naszym języku mniej więcej od stu pięćdziesięciu lat...”

W owym dzisiejszym znaczeniu, choć inny niż współcześnie zakres obejmującym, użył go jako pierwszy Wincenty Pol w pisanym od 1840 r. do 28 grudnia 1852 r., wydanym zaś w Krakowie w 1854 poemacie — „rapsodzie rycerskim” — *Mohor!*.

Tomasz Jastrun, *42 wiersze*, Wydawnictwo MARABUT, Gdańsk 1995.

Nowy tom znanego poety, publicysty, dziennikarza telewizyjnego, do roku 1994 dyrektora Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Zbiór rozliczeniowy, piękny i po męsku gorzki,

o przekraczaniu „smugi cienia”, rosnącej samotności, zmęczeniu.

Lidia Irena Węglarz, *Ogród słów*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1995.

Tomik ładnych, prostych liryków. Autorka para się literaturą od lat kilku. Próbowała już wierszy, fraszek, aforyzmów, sentencji, piosek dla dzieci. W roku 1993 ukazał się jej debiutancki zbiorek pt. *Robinia*.

Jolanta Baziak, *Wielbłądzica*, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1995.

Drugi, po *Strefie pomylonych*, udany zbiorek wierszy autorki z Bydgoszczy, członkini SPP.

Jacek Kuroń, *Wiara i wina*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

Jedną z najlepszych książek-autobiografii, jakie opublikowali w ostatnich latach nasi politycy. Ta cieszy się — wszak to już wydanie IV poprawione i uzupełnione — niezmiennym powodzeniem. Sam autor konstatuje we *Wstępie do obecnego wydania*: „Zamieszczony w tej książce wspomnienia z dość już zamierzchłej przeszłości okazały się nagle bardzo aktualne. Cieszy mnie to jako autora, ale niepokoi jako obywatela i polityka. W tej aktualności zawiera się swoisty paradoks. Napisałem te wspomnienia tak osobiście, że czy-

telnicy uznali je za opowieść o miłości. Skąd więc jej polityczna aktualność?”

Ryszard Przybylski, *Cień jaskółki. Esej o myślach Chopina*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1995.

Wydany akurat na rozpoczęcie XIII Konkursu Chopinowskiego utwór znakomitego esejisty za tło bierze listy Chopina, ukazując niezwykle wyrazisty portret wielkiego romantycznego artysty, targanego egzystencjalnymi troskami. Świetna robota edytorska, imponujące opracowanie graficzne Lecha Przybylskiego.

Wypisy z ksiąg filozoficznych. *O człowieku*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1995.

Piąty już tomik z pożytecznej serii wymyślonej i przygotowanej przez ks. Tadeusza Gadacza SP.

„«Człowiek jest tylko trzcina, najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myśląca», pisał Pascal. Jako istota myśląca, odpowiadając na pytania: kim jest, skąd pochodzi i ku czemu zmierza? — próbuje poradzić sobie z tajemnicą swego istnienia. (...) wypisy z ksiąg filozoficznych stanowią prezentację fragmentów dzieł wybitnych i mniej znanych filozofów. Są one zapisem moich własnych lektur filozoficznych. Zbierałem je, by uchronić przed zapomnieniem ważne i piękne myśli, zagubione w natłoku słów i skomplikowanych analiz”.

Grass w krzyżowym ogniu krytyki niemieckiej

Powieść Güntera Grassa *Rozległa ziemia* została rozsprzedana w ilości ponad 150.000 egzemplarzy zaledwie kilka tygodni po wejściu na półki księgarskie. Pomimo miazdzącej krytyki większości „liczących się” dzienników i tygodników. („Kto to będzie czytał? Z własnej woli i do końca? Siedemset osiemdziesiąt jeden stron? (...) Nieznany autor nie znalazłby dla najnowszej książki tego wciąż najpopularniejszego z żyjących powojennych autorów wydawnictwa, któreby to chciało wydać”).

Z krytyczną oceną wystąpił najpoważniejszy dziennik niemiecki „Frankfurter Allgemeine Zeitung” F.A.Z. tygodnik „Der Spiegel” i znakomicie redagowany „Die Zeit”. Gwałtownie atakował Grassa w audycji telewizyjnej „Literacki Kwartet” tutejszy „papież krytyki literackiej” Marcel Reich-Ranicki. Oceniał on powieść jako literackie fiasko. Wspomniany „Der Spiegel” zamieścił na okładce ilustrację, na której Ranicki w pasji drze *Rozległą ziemię* na dwie części.

Ukazały się też artykuły broniące pisarza. W tygodniku „Stern” bronił Grass sam siebie. Ujęła się za Grasse „Süddeutsche Zeitung” i w „Sternie” „Wielki Stary Człowiek” niemieckiej krytyki literackiej i historii literatury Walter Jens. Śledząc krytykę, trudno nie spostrzec, że polemika skierowana jest przede wszystkim ku politycznym poglądom Grassa, analizy literackiej tak jakby prawie nie było. Ale czemu się dziwić? *Rozległa ziemia* jest powieścią z polityczną tezą.

„Die Zeit” wydrukował dwa krytyczne artykuły: Güntera Hofmanna *Samotny dobosz* i Iris Radisch *Bitterfeldzka ślepa uliczka*. Hofmann dostrzega w powieści pozytyw i negatyw. Dużo jest powodów — pisze — aby mówić o dziele Grassa „owym wysoko mierzącym eposie o Niemczech i Jedności za czasów Fontane i dziś”, jako o nieudanej literaturze. *Rozle-*

glą ziemię napisał Grass z perspektywy Wschodu. Ale czy będąc pisarzem wyrosłym na Zachodzie mógł dobrze poznać i zrozumieć świat po drugiej stronie muru? „Wydarzenia zalewają Grassa i jego powieść. Ledwo udaje mu się je porządkować, ledwo łapie ich powierzchnię. Lecz nawet i taki, poskładany z kawałków obraz Niemiec mówi niemało o rzeczywistości”.

Pozytywy powieści widzi recenzent w jej potencjalnych możliwościach rezonansu społecznego. Jeśli nawet uznać poglądy wyrażone w *Rozległej ziemi* za niesłuszne, dzieło jest impulsem do dialogu intelektualistów z politykami. Dialogu, jakiego nie ma.

Od czasu *Blaszanej bębenka* jest Grass przedstawicielem powieści protestu, powieści zaangażowanej. Należy do pisarzy, którzy „mieszają się”. Zawsze chce czegoś, czasami za dużo, jak tym razem. „Lecz takim głowom i piórom jak Grass — konkluduje Hofmann — zawdzięcza Republika (Zachodnia), że jej demokracja stała się liberalniejsza. Grass jest dzisiaj «samotnym doboszem». Republice, pięć lat po Zjednoczeniu, brakuje wielu Grasso”.

W recenzji Iris Radisch *Rozległa ziemia* przedstawia wschodni-niemiecką historię i zachodnio-wschodnią współczesność w krzywym zwierciadle. Główny bohater powieści, Theo Wuttke — referując wątek książki za recenzentką — historyk-hobbysta, wielbiciel twórczości i osoby Teodora Fontane — tajniak za III Rzeszy; wzorowy intelektualista w czasach Ulbrichta i Honneckera; po otwarciu muru współpracownik Urzędu Powierniczego (Treuhand) — w niekończących się rozmowach z przyjacielelem Hoftallerem (byłym oficerem Stasi i „aniołem stróżem” Wuttkego) wspomina wspólne czasy w NRD, komentuje Fontane i porównuje współczesność ze starymi Prusa-

mi i czasami Bismarcka. W Jedności widzi Wuttke powtórzenie Lat Założycielskich (Gründejahre); w Köhlu — drugiego Bismarcka (tacy sami „kolosalni szachrajce”), w Urzędzie Powierniczym — współczesnych kolonialnych panów, którzy „kupili nieświadomy lud za banany”. „Dawniej — takome spojrzenie na Wschód za Sprewę na ziemię junkrów. Dzisiaj ciągną na Wschód spekulanci gruntów na połów tłustych kasków”. Facit: brakującą myśl o Jedności musi zastąpić pieniądz. Tymczasem jednak w Niemczech Jedność nigdy nie przynosiła nic dobrego, zawsze żywiła się kosztem demokracji.

Grass „rozczarowany socjaldemokrata, który wie co lud powinien jeść i kogo wybierać i który najchętniej zarządziłby trzecią drogę reformowanego socjalizmu”, relatywizuje historię, nie chcąc dojrzeć Zmiany. Figury *Rozległej ziemi* to marionetki niezmiennego się i wiecznie powracającego biegu świata. Symbolem tego punktu widzenia jest coraz to powracający w powieści obraz windy osobowej Urzędu Powierniczego, „Paternoster”, kursującej bez zatrzymania się w górę i w dół, w górę i w dół. Wozila ona „wspaniałego marszałka” Ministerstwa Lotnictwa III Rzeszy; potem przewodniczącego Ulbrichta w Urzędzie Rady Państwa i jego następcę „Honi”; później szefa Urzędu Powierniczego Rohweddera. Ta rezonerska powieść deklaruje stale, że to co najnowsze jest tym co najstarsze. Panorama historyczna Wuttkego pokazuje historię w trywialnej wersji. *Rozległa ziemia* jest powieścią z tezą. Postacie, podporządkowane tezie „szleszczą” papierem. Grass patrzy na wydarzenia przez okulary niemiecko-niemieckich rozrachunków. Poza tym tematem nic go nie interesuje. Ani otwarcie muru, ani Zjednoczenie.

Idea fix Grassa — konkluduje Radisch — złożenia dwu epok niemieckiej historii w jed-

no, później oddzielenia, jak ziarna od plew wschodniej prawości od zachodniej nieprawości i przerobienia tego wszystkiego na książkę, musiała zakończyć się niepowodzeniem. Żle pomyślanego nie da się dobrze opowiedzieć.

Grass odpowiedział krytykom w wywiadzie dla tygodnika „Stern”. Stwierdził, że książka jest pozycją udaną („Udało mi się — pisze — skomplikowane społeczne i polityczne stosunki nie tylko naszej współczesności, ale i przeszłości ująć w fabularną formę, przedstawić je poglądowo, w obrazach, oddać w dialogach”). Co się tyczy krytycznych opinii recenzentów, to „jest to tak, jak z królową w bajce o *Królownie Śnieżce*, która pyta lustra kto jest najpiękniejszy w kraju? Lustro na to: jest inna, 1000 razy od ciebie piękniejsza. Wówczas królowa jest wściekła na lustro, w którym się przegląda (...)”. W powieści — mówi Grass — „kwestionuję legendę o udanej Jedności. Autorów tej legendy doprowadzam tym do pasji”.

Walter Jens („Stern”) w komentarzu polemizującym ze złym stylem krytyki „Kwartetu Literackiego” prowadzonym przez Ranickiego, przypomniał o istnieniu kuriozalnego, jak pisze, terminu „estetyka przekonania” („Gesinnungsästhetik”). Grass zdobył się na odwagę przedstawić w dziele swoje przekonania i za to został posadzony „na cenzurowanym”. Lecz kto atakuje „estetykę przekonania”, atakuje większą część literatury europejskich od Ajschylosa po Brechta.

Była przewodnicząca Urzędu Powierniczego, następczyni Rohweddera, pani Breuel, w wywiadzie dla „Der Spiegel” zacytowała zdanie z książki Grassa („Kto powołuje do życia instrument tak lekceważący ludzi jak Urząd Powierniczy, nie powinien wyrażać zdziwienia z terrorystycznych reakcji”) — kwalifikując to zdanie jako prowokację.

Teresa Irena Gieldzik

Wieża Babel

Nowe szaty Elektry

Kryzys kultury klasycznej wydaje się w tej chwili przyjmować kształt widoczny dla wszystkich — pisał Mieczysław Jastrun w jednym z esejów składających się na cykl *Mit śródziemnomorski*. Na ławie oskarżonych zasiada modernizm, niosący ze sobą destabilizację życia, destrukcję tradycyjnych struktur społecznych i dezintegrację klasycznych form w sztuce. „Formy stworzone przez kultury antyczne — kontynuował Jastrun — mogły rozwijać się pod niebem bezpiecznym, ich podłożem była pewność istnienia i zaufanie do tradycji”. Tak oto wielki mit śródziemnomorski rozpada się, pozostają jedynie ruiny jego prawdziwej świątyni, ginące w narastającym mroku subiektywizmu i nihilizmu moralnego. Przypomnę, że ta ponura wizja zmierzchu bogów Hellady zasiała w moim umyśle ziarno niepokoju. Bo dokąd właściwie podąża literatura schyłku XX wieku, czy spada w otchłań dekadencji, czy też przeciwnie, świadoma swoich źródeł szuka nowych dróg, by wspiąć się na wciąż te same, piętrzące się nad nami od wieków turnie? A może rzeczywiście wielki mit śródziemnomorski obecny jest w literaturze lat dziewięćdziesiątych jedynie jako pastisz, intertekstualny grymas?

Niestety moja ostatnia lektura, powieść kryminalna Ingrid Noll *Die Häupter meiner Lieben** (*Głowy moich ukochanych*), wydaje się być koronnym dowodem na ową dekadencję najnowszej literatury. Powieść kryminalna? — obruszy się zapewne niejeden z Szanownych Czytelników. — To przecież ziemia jałowa literatury! GDzież tu szukać gajów oliwnych? Prawda, zarzutowi temu trudno odmówić racji. Lecz spójrzmy na fakty: Ingrid Noll to bardzo poczytna w Niemczech autorka thrillerów. Chodzi o kryminały szczególnego rodzaju, bowiem głównymi ich bohaterami — jak również i postulowanymi odbiorcami — są kobiety. Książki te, jak zaświadcza jeden z niemieckich recenzentów „trzymają w napięciu”, są „napisane z niezwykłym humorem”, a na dołdek „pokrzepiająco niemoralne” — i trudno chyba o lepszą rekomendację na rynku kultu-

ry masowej. Jednocześnie zaś użyte przez jednego ze zwolenników sztuki pisarskiej Ingrid Noll określenie „zabawny kryminał” skutecznie zniechęca doń czytelnika zainteresowanego ambitniejszą literaturą.

Die Häupter meiner Lieben jest historią przyjaźni Mai i Kory — od szkolnej ławki, aż po dorosłe życie. Jest to przyjaźń osobliwa, łącząca przeciwności: Maja, której to głosem przemawia narrator powieści, jest szkolnym outsiderem, zamkniętą w swoim świecie marzycielką, nie mogącą znaleźć sobie miejsca w rozbitej po odejściu ojca rodzinie. Obok niej pojawia się — Kora, tajemnicza rudowłosa piękność, umiejąca rozkoszować się życiem egoistka, rozpieszczana przez rodzinę, a przede wszystkim przez wspaniałomyślnego i pobłażającego ojca, znanego profesora sinologii. To właśnie dzięki Korze Maja, stopniowo wyzwala się spod wpływu historycznej matki i znieawidzonego brata, uczy się realizować własne pragnienia. Przewrotne motto: „Zacna kobieta myśli o sobie”, wpisuje Maję do swojego pamiętnika, parafrazując znaną sentencję z *Wilhelma Tella* Schillera. Będąc razem Maja i Kora są szczęśliwe. Gdy tylko ich szczęściu próbuje ktoś przeszkodzić, przyjaciółki stają się bezwzględne, a intruz przyplaca to życiem. Spadają więc głowy nieudacznego ojca i krnąbrnego brata Mai, podstarzałego męża Kory oraz wspólnego kochanka bohaterek. Tenże wątek kryminalny, który, trzeba dodać, rozwija się w powieści dość niemrawo, zyskał wielki poklask u krytyków, doszukujących się w tym miejscu pewnych analogii z filmowym dziełem Ridley’a Scotta *Thelma i Louise* (choćby akcenty feministyczne, mężczyźni w roli ofiar).

Jakże więc jest z ową „rozkładowością” literatury lat dziewięćdziesiątych? Otóż książka ta utwierdziła mnie w przekonaniu, że ciągłość wielkiego mitu śródziemnomorskiego w literaturze nie została przerwana. Grecja obecna jest w powieści Ingrid Noll. Ale jest to Grecja Hofmannsthal’a i Nietzschego, duchowa ojczyzna moderny, której Jacques Le Rider poświęcił znakomity rozdział w swojej książce

Modernité viennoise et crises de l’identité. Wiem, że śmiała to hipoteza, ale zaryzykuję...

Maja, jak już wiemy główna bohaterka powieści Ingrid Noll, dorastając przeżywa wielką deziluzję: zostaje wygnana z krainy marzeń, w której jest księżniczką, ukochaną córką króla — ojca. Odkrywa ona, że zdominowany przez mężczyzn świat opiera się na fałszu i obłudzie. W oczach Mai pierwotny porządek ojcowski został zniszczony i zastąpiony pseudoporzadkiem, narzuconym przez despotyczną, pogrążoną w depresji matkę. Ta wizja świata przypomina mroczną *Elektrę* Hugo von Hofmannsthal’a. Paradoks Elektry polega na tym, że ta wierna — a zarazem okrutna — córka Agamemnona, żądając krwi i ściętych głów Klitajmestry i Ajgistosy, chce zrekonstruować zniszczoną przez swą wiarołomną matkę i jej kochankę pierwotny porządek ojcowski. Pragnie w ten sposób przywrócić swojemu światu utraconą harmonię.

W jednej z najbardziej poruszających scen dramatu Hofmannsthal’a Elektra stara się namówić do zbrodni Chryzotemis, swoją siostrę, a z jej słów emanuje fascynacja kobiecością, ciałem i tłumioną w nim siłą („Tyle siły w tobie... wszędzie!”). Echa tego dialogu powracają u Ingrid Noll: Maja poddaje się zaklęciom Kory. Mityczna postać Elektry nie ma w powieści Noll swojego odpowiednika, jednakże Maja i Kora ucieleśniają jej ideę i to właśnie one na nowo wnoszą z ruin zniszczony pałac Agamemnona.

Godny uwagi jest też inny helleński wątek *Die Häupter meiner Lieben*: wątek Ariadny. Prototypem zagubionej, osamotnionej w swym, świecie Mai jest Ariadna opuszczona przez Tezeusza na Naksos, której Nietzschę poświęcił wspaniały dytyramb *Żale Ariadny*. Maja-Ariadna wyzwala się z inercji, odrzuca moralność chrześcijańską, a może lepiej — przewartościowuje ją — wstępuje na ścieżkę aktywnego nihilizmu, by wkroczyć do labiryntu Dionizosa. Ale wcześniej musi jeszcze zerwać wszystkie kłępujące ją więzy uczuciowe, bowiem Dionizos nie znosi resentymentu, a związek z nim wyklucza zawsze obecność tego trzeciego — mężczyzny. Spotkanie Kory i Mai, Ariadny i Dionizosa, stanowi w

sensie nietzscheańskim zapowiedź pełni i otwiera przed nimi drogę do nowego, afirmatywnego życia.

Dlaczego Grecja modernistów tak mocno zaznacza swą obecność na kartach kryminalnej powieści Ingrid Noll? Sądzę, iż ma to związek z punktem wyjścia powieści, w której kryzys wartości, dysocjacja tożsamości jest faktem niezaprzeczalnym. Ta diagnoza rzeczywistości wydaje się być równie bolesna dla konserwatywnych *anciens* i zbudowanych, nihilistycznych *modernes*. Książka Noll pokazuje jak kryzys ów może zostać przezwyciężony, sięgając, świadomie bądź nieświadomie, do modernistycznej mitologii, krystalizującej się na przelomie XIX i XX wieku. A czyniąc to sprawia, iż wielki mit śródziemnomorski, zinterpretowany w pismach Nietzschego i dramatach Hofmannsthal’a, wzbogacany o nowe akcenty i niuanse, wchłonięty zostaje w krwiobieg jej powieści. Jawi się on jako wciąż zadziwiający *farmakon*.

Piotr Bukowski

*Ingrid Noll, *Die Häupter meiner Lieben*, Diogenes Taschenbuch, Zürich 1994.

KONKURS LITERACKI PTWK

Polskie Towarzystwo Wydawców Książek ogłasza Konkurs Literacki w trzech kategoriach twórczości: poezji, prozy i eseistyki. Konkurs ma na celu promocję współczesnej literatury polskiej. Udział w nim mogą wziąć autorzy książek wydanych w latach 1994-1995, którzy mają w swoim dorobku nie więcej niż trzy opublikowane książki w danej kategorii twórczości.

Zgłoszenia (wraz z egzemplarzami) autorzy, wydawcy, krytycy i czytelnicy mogą nadsyłać do końca grudnia 1995 roku pod adresem: Polskie Towarzystwo Wydawców Książek, ul. Mazowiecka 2/4, 00-048 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs Literacki”.

Prosimy o podawanie pełnych danych bibliograficznych dotyczących książki oraz informacji o autorze (z podaniem adresu i telefonu). Rozstrzygnięcie konkursu, przyznanie nagród i sponkowanie promocyjne z udziałem autorów, wydawców, prasy i publiczności nastąpi wiosną 1996.

Blizszych informacji udziela Biuro PTWK tel. 26-07-35 w godzinach 10-15.

Maja Jurkowska **Niech żyje kicz!**

Tima Burtona znamy już jako autora *Batmana* i filmów animowanych z serii czarnego humoru. Ciekawia go postacie ekscentrycznych nieudaczników, pasjonaci makabry, miłośnicy Drakuli i Frankensteina. Są to artyści o romantycznych dużych, niedorośli geniusze. Łączy ich wspólna cecha, mają dużo wewnętrznego ciepła i wzbudzają sympatię. Burton wybiera tym razem na bohatera swojej opowieści Ed Wooda, specjalistę od horroru, który zyskał miano najgorszego realizatora wszystkich czasów. Wyśmienite kicze z lat 50-tych pobudziły wyobraźnię młodego i ambitnego reżysera. Domyśliśmy się, że w zainteresowaniach Burtona jest pewna doza autoironii i skromność oceny własnej pozycji w świecie filmowym.

Ed Wood nakręcił 20 filmów w rekordowym tempie poświęcając niecały tydzień na realizację jednego dzieła. Kino nie było jedyną jego pasją. Miał też słabość do angorowych swetrów, pończoch i innych części damskiej bielizny, choć nie pociągali go mężczyźni. Otaczał się indywidualnościami równie dziwacznymi jak on sam. Wśród jego przyjaciół był podstarzały transwestyta, gwiazda słynna z roli wampirzycy w telewizyjnych serialach, bokser o aparycji i manierach King Konga, aktorki z niespełnionymi ambicjami zawodowymi i... legendarny odtwórca Drakuli, Bela Lugosi, całkiem już zapomniany, starzec i narkoman.

Ed Wood czuje się w studiach wytwórni Universal jak oczarowane dziecko w krainie bajki. Wszystko wzbudza w nim entuzjazm, ma niespożyta energię w kreacji nowych pomysłów, a pomaga mu w tym urok osobisty. Uparcie wierzy, że jego następny film będzie lepszy i zapewni mu sławę u potomnych. Dlatego nie zraża się kolejnymi porażkami. Jego naiwna wiara dodaje sił przyjaciołom. Każda nakręcona scena wydaje mu się świetna, brak pieniędzy, prozaiczne efekty dekoracji i niedostatek talentu aktorów nie są dla niego przeszkodą w spełnieniu artystycznych wizji. Wszystko widzi jako doskonale i zachwycające.

I Tim Burton zachowuje wdzięk olśnionego chłopca. Czyż nie kicze właśnie podziwialiśmy w dzieciństwie? Opowieści o wampirach, Belfegorach, przybyszach z kosmosu w wystroju gabinetów osobliwości i tunelów grozy wesołego miasteczka? Potem trudno było spać, ale ile czaru miały w sobie te

tandetne historie. Burton nie kryje swoich fascynacji i uważa, że świat z niesamowitych bajek nie jest daleki od rzeczywistości.

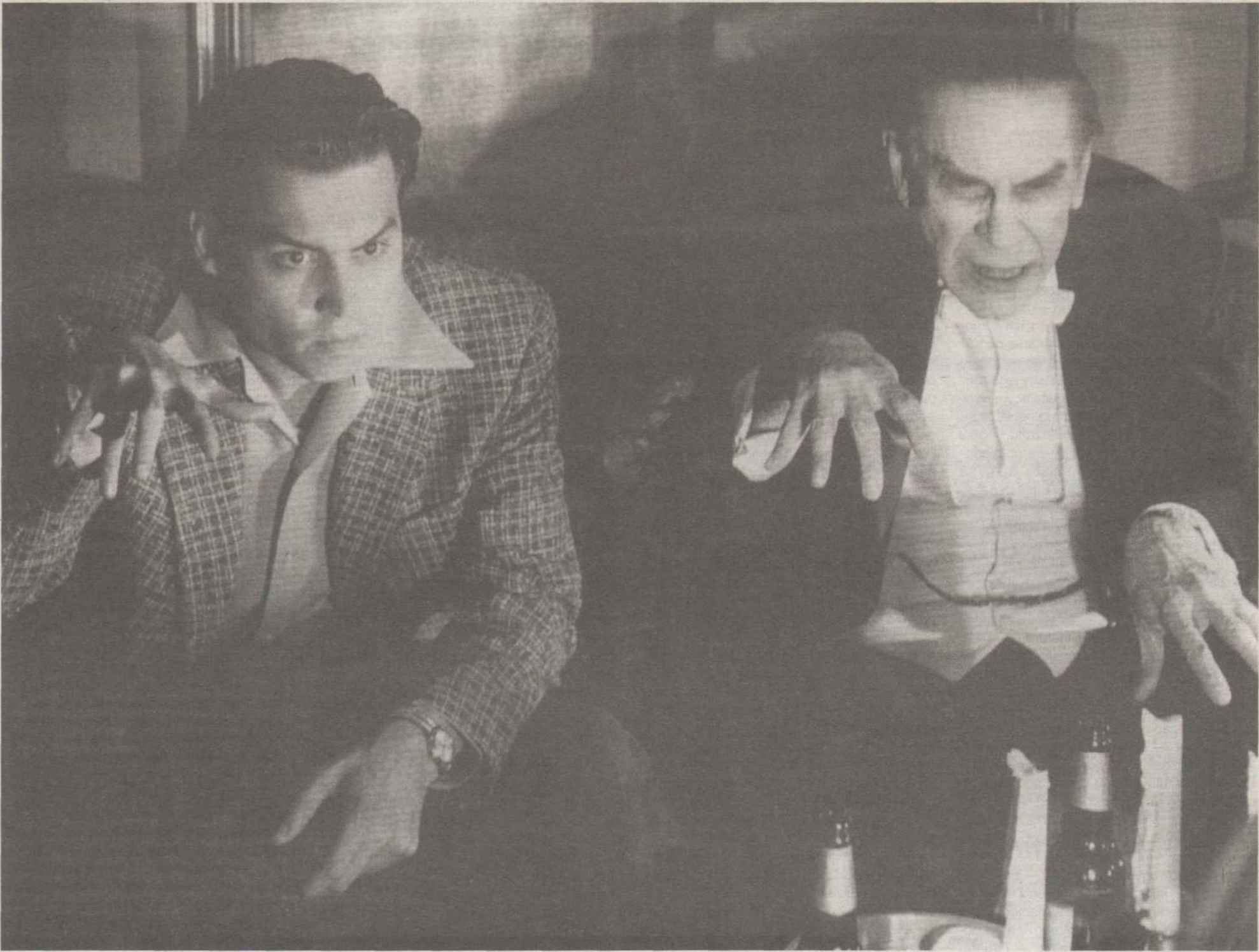
Co właściwie oznacza dobry czy zły gust? Filmy Ed Wooda są dla Burtona jedynie dziwne i surrealistyczne. Ale Burtona nie zajmuje trudno uchwytna różnica między dobrym i złym smakiem. Ciekawia go ludzkie pasje, słabości i marzenia. Kręcenie filmu jest fascynującą przygodą, a końcowy efekt to tylko sen wobec siły więzi między ludźmi pochłoniętymi tą samą namiętnością do kina. Niekiedy za ów sen płaci się bardzo drogo, nałogiem, utratą przyjaźni, osamotnieniem. Burton pokazuje jedynie żalony schyłek mitycznego starca Beli Lugosi, nie opowiada nam o tragicznym końcu późniejszego alkoholika Ed Wooda. Farsa, którą filmowcy odgrywają na planie, jest właściwie tragifarsą ich życia. Arcyzabawna komedia Burtona jest gorzkim zwierzeniem o spełnianiu pragnień z dzieciństwa. Reżyser nie dąży do gloryfikacji Ed Wooda jako realizatora filmów. Chce zarazić nas tylko miłością do kina. Robi to niezwykle zręcznie, w przeciwieństwie do tytułowego bohatera. Tok opowieści jest zajmujący (scenariusz: Scott Alexander, Larry Karaszewski), aktorstwo wyborne, nawet w drobnych epizodach, akcenty muzyczne znakomicie podkreślają dwuznaczność między nadmiarem patosu i ciepłem liryzmu (Howard Shore), wystroj wprowadza nas w świat amerykańskiego studia z lat 50-tych (Tom Duffield). Burton osiąga swój cel ożywienia obrazu bogactwem emocji dzięki rolom Martina Landaua jako starego Lugosi i Johnny'ego Deppa jako Ed Wooda.

Martin Landau został wyróżniony za swoją kreację Oscarem. Ma 62 lata. Karierę rozpoczął w nowojorskim teatrze. Grał między innymi u Hitchcocka. Zawodu uczył się w Actors Studio w Lee Strasberg. Potem wrócił tam jako profesor. Jego uczniami byli Harry Dean Stanton, Jack Nicholson, Oliver Stone. Ostatnio współpracował z Woody Allenem. W filmie *Ed Wood* gra zapomnianego gwiazdora dawnych horrorów. Jest to dziwak, zrazu wyniosły i nieprzystępny, później ujawniający swoje słabości i łagodność charakteru. Lugosi jest zmęczony życiem, lecz tli się w nim jeszcze iskra pamięci o wspaniałej przeszłości, chce spróbować ostatni raz szczęścia krę-

cąc film z niedoświadczonym reżyserem. Między mistrzem i uczniem nawiązuje się przyjaźń. Młody realizator staje się jego dyskretnym opiekunem, podtrzymuje w nim wiarę w czar filmu i piękno życia, choć obaj dostrzegają groteskowość swojego położenia. Węgierski akcent starca, przerysowanie gestu i emfaticzność głosu to zewnętrzne atrybuty wielkości, za którymi kryje się pragnienie uczuć, ból osamotnienia i chęć przeżycia jeszcze raz momentów sławy.

Osiągnięcie sukcesu jest zamiarem każdego młodego reżysera. Wielu z nich zajmuje się chłodną kalkulacją, by osiągnąć zysk i popularność. Niektóre obrazy zrobione są z fachową precyzją, rozsada je nagromadzenie wizualnych efektów, bohaterowie mają muskulatury antycznych herosów i skuteczność robotów. Oglądamy cudowną maszynę, w której nic się nie psuje. Mimo to przejmują nas bardziej ułomności i niedostatki. Dlatego tak sympatyczną postacią jest Ed Wood z filmu Burtona. Właściwie jego żarliwość i aspiracje są tym bardziej pociągające im bardziej nieudolne są jego dzieła. Co pozostało po Ed Woodzie? Koszmarne horrory, których nikt już nie pamięta i... kilka przegranych karier artystów bez talentu, kilka życiowych klęsk, kilka przyjaźni, które przypomniały nam dziś Burton. Były groteskowe, nieco patetyczne i nieco żalonne. Burton prowadzi wspaniałą grę między komizmem i dramatem, zabawna podniosłość scen realizowanych przez Ed Wooda miesza się z patosem życiowych relacji między młodym entuzjastą i umierającym przyjacielem. Bela Lugosi recytuje przesłanie jednej z granych przez siebie postaci, żegna się z życiem i ze swoimi marzeniami.

Te momenty wzbudzają nas, choć cały czas obserwujemy subtelna zależność między kiczem filmowym i tragikomedią codzienności. Burtona wyróżnia ów ironiczny i pełen współczucia dystans. Ani na chwilę nie zapominamy, że jesteśmy w kinie, patrzymy jakby okiem samego reżysera. Historia toczy się wartko bez zenującego przerysowania, jakie cechowało dzieła Ed Wooda. A jednak Burtona i jego bohatera łączy coś głębszego, ta sama pasja i zauroczenie magią kina. Ich wspólnym ideałem są arcydzieła Orsona Wellesa. Ale Burton ogarnia swoją fascynacją i urodę kiczu, i tęsknotę za genialnością, a przede wszystkim ocala pamięć o bardzo ludzkich odruchach, śmiesznościach i dramatach. Walorem filmu jest więc nie tylko zręczność warsztatowa, ale pewien ton humoru i liryzmu, przypominający *Ginger i Freda* Felliniego. Cecha artystycznego talentu bardzo obiecująca.



Johnny Depp (Ed Wood) i Martin Landau (Bela Lugosi) w filmie Tim Burtona "Ed Wooda"

Barbara Sola 2 x góry

Pierwsze góry zaczynały się za Trzebinia-Sierszą. A właściwie nie góry — wzgórze. Pociąg, gdy już minął pomarańczowe paszce hut (na trasie Chorzów — Katowice), a wcześniej jeszcze (za Kędzierzynie), gdy połknął brązowy, metaliczny krajobraz, w który przechodziła zniecała zieleni Opolszczyzny, za Katowicami — brał wreszcie powietrze w płuca, rozpędzał się i pędził, ile sił. Za oknem migotała pastelowa kratownica pól. Wystarczyło spojrzeć tam, aby zorientować się, że jest to kraina indywidualistów i anarchistów. Na wzgórzach rozrzucone to tu, to tam domy. Żadnego porządku. Jabłonie rosną, gdzie chcą. Drogi prowadzą, gdzie je oczy poniosą. Co prawda i tu coś dziwnie znajomego — na słoneczne wzgórze zawędrowały trupioblade, szare sześcian. Ale czasami — w Małopolsce są one zwieńczone lekko podniesionym, prostokątnym dachem z papy. Nieraz załśni nawet nad nimi czerwien dachówki.

Między jasnymi wzgórzami leży jasne miasto — Kraków. W końcu ledwo dysząc pociąg dojeżdża do niego. Jasne miasto naprawdę ogranicza się do rynku i kilku ulic wokół. Dalej jest brutalność. Blokowiska, slumsy (w Nowej Hucie). Brutalność nieraz przyjmuje kształt grubokościsty i pędzi wtedy do jasnego rynku (z dworca kolejowego ulicą Floriańską). Dla kogoś kto przybył do Krakowa z Wrocławia — miasta o europejskim planie urbanistycznym — stolica Galicji sprawia wrażenie monotonna ciasnej. Jakby za dużo rzeczy chciano zmieścić na za małej przestrzeni. Nie ma tu miejsca na oddech szerokich placów, na awanturę popielatych trotuarów. Nie można sobie uciąć nawet spokojnie spaceru, bo jeśli nie wejdziesz się na pozieleniały zabytek, to na pewno spotka się znajomego. Ale z drugiej strony słodki jest krakowski rynek. Słodki jest owal ślimaka wieńczącego fasadę kamienicy obok kościoła Mariackiego. Łagodne i prostolinijne są linie domów na trasie A-B. Podejrzane tylko trochę dla kogoś, kto ma w pamięci ciemne, ogromne, granitowe albo z brązowego kamienia zrobione domy wro-

clawskich przemysłowców, bankierów z przełomu naszego wieku i zdobienia tych domów: wykusze, balkony, styl neogotycki pomieszany z alpejskim, szare kolumnady, sine kamienne podjazdy, spadziste dachy, okrągłe okna, spróchniałe balustrady, połamane linie. Tajemnicę form.

Chodząc tak po Krakowie dochodziłam do wniosku, że to na pewno stąd brali kolory wrocławscy kapucyni przemalowując ponurą protestancką kirkę w mojej dzielnicy na porządną świątynię katolicką. Tak, to stąd brali te ciepłe brązy, soczyste zielenie, oranże i czyste błękity. Św. Franciszek dostawał nowy habit, jelonek obok niego płową sierść.

Z roku na rok mój kościół stawał się coraz cieplejszy i coraz bardziej poczciwy. Oplacało się więc stawać w nim na czubkach palców i patrzeć w górę. To stawanie na czubkach palców doprowadziło mnie do Krakowa. I Kraków również nadawał się do tego, żeby stawać w nim na czubkach palców. Skoro było tu tak jasno, to wszystko było wiadome: kto jest na górze, a kto jest na dole, co jest dobre, a co jest złe i nawet taki drobiazg, kto z jakiej pochodzi rodziny. W słodkich, półwłoskich kościołach rytuały jasności zmieniały się niekiedy w komedię jasności.

Od demonach stoi w książce Henryka Wańka Hermes w Górach Śląskich. Mam ją w kieszeni, gdy wciśnięta w kąt przedziału, jadę pociągiem z Wrocławia do Kłodzka. Niedaleko za Wrocławiem zaczyna się Góry Kłodzkie. Ciemnozielone, śliskie i jakby odwrócone plecami do widza. O nie, nie są to Wzgórze Krzesławickie, które wyciągają do ciebie ramiona i mówią — chodź do mnie. Te góry mógł oglądać Caspar David Friedrich, także odwrócony wtedy do nas plecami. (Pierwszego Friedricha podarował mi na pocztówce Jochen z Drezną).

„A zatem wszystko staje się możliwe, od szaleństw pogody zaczynając, a na inwazji demonów kończąc. Jesteśmy zobowiązani do czujności i powagi”. Demony... W kraju, w którym tak demonizuje się wszystko od po-

lityki zacząwszy... naprawdę nikt poważnie diabła nie traktuje. Jedynym obowiązującym modelem duchowości jest wciąż słoneczny, jasny kłosz, w którym siedzieć jest słodko i bezpiecznie, bo zawsze czuwa ktoś na górze i wszystko musi się skończyć dobrze. Nie musi. Waniek zaleca pokorne oswojenie tajemnicy i ciemności. Należy przede wszystkim usunąć pychę syntezy i jasności.

Wyglądam znów przez okno. Obserwuję przez chwilę taniec czerwieni i zieleni na lokomotywie na sąsiednim torze. Potem ciemnozielone, liściaste góry, z których dymi mgła, a które wyrastają zniecała. W doliny zbiegają domy o pomarańczowych dachówkach i kościoły z żółtego piaskowca. Na wzniesieniach stoją czworokątne zabudowania farm z ciemnoczerwonej cegły. Nad wszystkim wisi ołowiane niebo. Od czasu do czasu okno zasłania ściana gliny, na której zauważam figurkę owcy. Potem glina i owca znikają, a na odsłoniętym horyzoncie pojawia się cytrynowe pudełko samochodu.

Henryk Waniek opowiada w swojej książce o wielkiej przygodzie, jaką przeżył w Sudetach. Wyprawy w te góry były dla niego spotkaniem z tajemnicą. Tropił zaciekle tę tajemnicę w starych książkach, w pismach adeptów nauk tajemnych, ezoterycznych. Szukał towarzystwa alchemików i magów. Znajdował w Sudetach ślady kultów przedchrześcijańskich, również heretyckich. Spoznał kanonu. Opisał np. dokładnie Ślężę — miejsce promieniujące energią. Ślęża leży o rzut kamieniem od mojego okna — 20 minut jazdy pekaesem — a ja tę omszałą zagadką zieloną piramidę pamiętam tylko z jej praktycznego, białego wcielenia — z nart. Pewnie dlatego szukałam energetycznych miejsc np. w Pirenejach. Autor Hermes w Górach Śląskich olśniewa przekazem przeżycia misterium natury. W Kłodzku wysiadam z pociągu i patrzę w granatowe, miękkie, żywe, wilgotne niebo. Przypomina mi się błękit z mojego kościoła. Czy jasna farba, którą kładł tam na suficie kapucyński malarz nie odebrała życia wyobrażonemu niebu? Książka Henryka Wańka jest bardzo inspirująca dla każdego, kto chciałby wędrować po górach. Również dla jasnych. Zdaje się mówić: „Jeśli chcesz mnie pocieszyć, mów mi o ciemności”.

Dwaj prekursorzy Stanisława Barańczaka Przyczynek filologiczny

Stanisław Barańczak jako autor zbioru *Bóg, Trąba i Ojczyzna* (Wydawnictwo Znak, Kraków 1995) nie jest pierwszym, który pokusił się o naSŁONIEcznienie poezji polskiej. Autorka erudycyjnej przedmowy do tomu, Desdemona Duś, przeoczyła napisaną w r. 1632 fraszkę Rafała Leszczyńskiego (ogłosił ją Aleksander Brückner w *Dziejach literatury polskiej*, Warszawa 1908, t. I, s. 290).

Zaszło słonie, Polacy! umarł Zygmunt Trzeci! Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci Złotą koronę włóźmy na królewskie skronie: I tak będzie dzień jasny, chociaż zaszło słonie! Zapewne fraszka ta wiąże się z głośnym wówczas przejęciem jakiegoś pogrzebowego oratora.

W zbiorze Barańczaka pod nazwiskiem Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej figuruje czterowiersz *Słonie w klatce*:

Słonica senna, naga, nie czuje więzienia,
Gdy spogląda na słonina, który od niechcenia
Trąbę przed chwilą zwisła wznosi w wysokości.
A jakaś pani patrzy — i płacze z zazdrości.
Jest to — jak wiadomo — trawestacja wiersza Pawlikowskiej-Lwy w *klatce* (z tomu *Pocałunki*). Nie pierwsza jednak — o czym również nieśwety nie wie Desdemona Duś. Oto w anonimowej jednodniówce „Jadą mości Literackie” (z r. 1926) w cyklu „Zagatki”, parodiującym miniatury poetyckie Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej znajduje się m.in. następujący wierszyk *Słonie* (cytujemy wg przedruku w *Antologii polskiej parodii literackiej*, wydanej przez Juliana Tuwima w r. 1927, s. 78):

Słonica senna i naga nie czuje tęsknicy,
Leżąc spogląda w trąbę słonina. Do słonicy
Słoń się przybliży, cały w sadle i męskości
A stara panna patrzy i płacze z zazdrości.
Pozostawiamy znawcom problemów intertekstualności odSŁONIEcie semantycznych różnic, będących rezultatem odmiennej strategii parodystycznej zastosowanej w obu utworach. Wyższość jednak strategii Barańczakowej jest prima facie ewidentna.

Marek Wierczyński

Michel Dobry
SOCJOLOGIA KRYZYSÓW
POLITYCZNYCH
(Sociologie des crises politiques)
Tłum. Krzysztof Waker

Książka Michela Dobrego — profesora Uniwersytetu Paris X-Nanterre, ucznia Bourdieu i Goffmana — jest socjologicznym opisem i wyjaśnieniem kryzysów politycznych we współczesnym społeczeństwie. Autor omawia i poddaje krytyce wszystkie znane teorie kryzysu w kontekście takich pojęć i problemów, jak działanie zbiorowe, rewolucja, socjologia konfliktów, strategie charyzmatyczne, legitymizacja i kryzys legitymizacji, cechy strukturalne złożonych systemów społecznych, analizuje także przebieg historycznych przypadków kryzysu. Dobry podaje w wątpliwość wiele tez funkcjonujących w socjologii (np. myślenie o kryzysie jako przedmiocie trudniejszym do zobaczenia niż stan „normalny” czy przeświadczenie o obniżeniu czynnika racjonalnego w zachowaniach uczestników sytuacji kryzysowej). Jego filozofia myślenia o kryzysie opiera się na przekonaniu o normalności kryzysu, jego zwyczajności.

Wyd. 1, ks. pom.
ark. wyd. 22, brosz., 14,3x20,5 cm
ISBN 83-01-11848-2

Glenn Tinder
MYŚLENIE POLITYCZNE
Odwieczne pytania
(Political Thinking. The Perennial Questions)
Tłum. Andrzej Dziurdzik
Seria: Logos

Książka składa się z siedmiu rozdziałów-problemów (znaczenie filozoficznego myślenia o polityce, myślenia politycznego w kategoriach historii idei, doktryn, ideologii, światopoglądów, a nie w kategoriach instytucji, które realizują politykę czy władzę; wyobcowanie — jedność; równość — nierówność; władza — sprawujący władzę; ograniczenia władzy; cele władzy; problemy historyzoficzne) i trzydziestu podrozdziałów-pytań (np. Czy religia pozwala przezwyciężyć wyobcowanie? Czy mężczyźni i kobiety zawsze i pod każdym względem winni być traktowani w sposób równy? Czy władza jest tylko źródłem porządku społecznego? Czy zbrodnia z zemsty może być celem władzy? Czy ludzie mogą mieć wpływ na bieg historii?). Każdy rozdział zamyka opis dalszych lektur (prace klasyków myśli politycznej, od dzieł Platona po prace Arendt, oraz prace wybranych przedstawicieli literatury pięknej, m.in. Dantego, Dostojewskiego, Camusa, Malraux, Marquezę).

Wyd. 1, ks. pom.
ark. wyd. 18, brosz., 14,3x20,5 cm
ISBN 83-01-11900-4

Jerzy Wilkin
JAKI KAPITALIZM,
JAKA POLSKA?

W niniejszej publikacji autor przedstawia swoje refleksje nad zakresem, ograniczeniami i podstawami teoretycznymi wyboru, w jakim znalazła się Polska po rozpadzie komunistycznego ładu politycznego i gospodarczego. Większość rozważań dotyczy spraw wyboru ekonomicznego, ale w szerokim kontekście zagadnień politycznych, społecznych i filozoficznych. Szczególnie dużo uwagi autor poświęca takim problemom, jak: sprawa wyboru i budowy systemu gospodarczego, wybór sekwencji i tempa reformowania gospodarki oraz poszukiwania nowej roli państwa w gospodarce rynkowej. W swych rozważaniach autor odwołuje się do różnych nurtów we współczesnej nauce, zwłaszcza ekonomii, oraz do doświadczeń innych krajów.

Wyd. 1, ks. nauk.
ark. wyd. 8, brosz., 14,3x20,5 cm
ISBN 83-01-11919-5

Joseph A. Schumpeter
KAPITALIZM, SOCJALIZM,
DEMOKRACJA
(Capitalism, Socialism and Democracy)
Tłum. Michał Rusiński
Przedmowa do polskiego wydania:
Stanisław Mikosik

Autor niniejszej publikacji uchodzi za jednego z najwybitniejszych ekonomistów XX wieku, który z dużym powodzeniem działał równoległe na wielu obszarach nauk społecznych. Prezentowana praca jest wynikiem jego czterdziestu lat przemysłu; powstała w latach 1935-1941. Oprócz sześciu wydań (nie licząc wznowień) w języku angielskim doczekała się tłumaczeń w szesnastu językach. W okresie Polski Ludowej wydanie tej pracy było niemożliwe. Sądymy, że zainteresuje ona ekonomistów, politologów, socjologów, historyków i prawników.

Wyd. 1, ks. podr.
ark. wyd. 27, tw., 14,3x20,5 cm
ISBN 83-01-11786-9



WYDAWNICTWO
NAUKOWE
PWN

ul. Miodowa 10,
00-251 WARSZAWA
Dział Sprzedaży:
tel (0-2)635-09-76
fax (0-2)26-09-50
ODDZIAŁ w Krakowie
31-037 KRAKÓW
ul. św. Tomasza 30

Janusz Kapusta K-DRON opatentowana nieskończoność

K-dron jest jedenastościenną bryłą opartą na prostokątnej podstawie. Powierzchnia górna składa się z 4 trójkątów i rombu. Zmiana kąta nachylenia tego rombu sprawia, że K-dron przekształca się od płaskiej płytki aż do strzelistego, trójwymiarowego obiektu. Jest zdumiewające, że wśród tysięcy figur i kształtów, które istnieją, nikt nie zauważył tej bryły, zanim Janusz Kapusta jej nie odkrył. Ta wyrafinowana struktura ma nieoczekiwanie wiele potencjalnych zastosowań w architekturze i sztuce użytkowej.

Książka *K-dron, opatentowana nieskończoność* opisuje dotychczasową historię K-dronu, od poszukiwań i zaistnienia formy w umyśle twórcy, przez szczegółowe jej opisanie, do przedstawienia kilkudziesięciu, spośród wydaje się niezliczonej liczby zastosowań w różnych dziedzinach życia.

„Oczywiście — mówi Janusz Kapusta — świat mógłby żyć bez tej bryły, ale gdy już wie o jej istnieniu, wydaje się być trochę mądrzejszy i bogatszy”.

Zamówienia z podaniem dokładnego adresu prosimy nadsyłać do:
Działu Marketingu, Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych
00-696 WARSZAWA, ul. Pankiewicza 3.

Podatnicy VAT proszeni są o podanie numeru identyfikacyjnego firmy oraz wyrażenie zgody na wystawienie faktury bez podpisu odbiorcy.



WSiP WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

00-950 WARSZAWA
Plac Dąbrowskiego 8
tel. 26-54-51 (centrala)
fax 27-92-80, tłx 816132 WSiP pl.

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARŃ FIRMOWYCH

w WARSZAWIE

ul. Kredytowa 9, pl. Dąbrowskiego 8,
tel. 26-54-51 w. 170,
26-75-70, 26-01-76

w KRAKOWIE

ul. Sławkowska 11,
Księgarnia Literacka, tel. 22-47-73

Dział Marketingu

00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. 628-24-91 wewn. 246, 283;
tel/fax 628-95-73

Dział Akwizycji,

Kiermaszy i Wysyłki WSiP

00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. 628-24-91 wewn. 230, 214

Hurtownia WSiP

04-186 Warszawa, ul. Grochowska 21
tel. 610-69-06; tel/fax 610-67-95

Szanowni Wydawcy

Jesteśmy najnowszą drukarnią prasową w Polsce, wyposażoną w sprzęt i urządzenia poligraficzne renomowanych firm.

Dysponujemy wysoko wydajną maszyną rotacyjną Man-Plamag oraz doskonale oprzyrządowaną przygotowalnią offsetową.

Nowoczesny park maszynowy, starannie dobrana kadra specjalistów gwarantują wykonanie usług na wysokim poziomie. Uzyskiwana przez nas jakość druku, w tym także kolorowego z pewnością zadowoli Wasze ambicje wydawców, a także usatysfakcjonuje ogłoszeniodawców, którzy będą zamieszczać reklamy w Waszych gazetach i czasopismach.

Zapraszamy Was do stałej współpracy!

Polecamy również druk wydań specjalnych i olicznościowych oraz dodatków tematycznych, promocyjnych i reklamowych.

Krakowska Drukarnia Prasowa

Sp. z o.o.

31-580 Kraków
ul. Nowohucka 50

centrala: 25 90 86
fax: 44 51 34

Prezes Zarządu
44 50 29

Dyr. d/s techn.:
44 47 07

Dyr. d/s Produkcji:
44 27 41

Dział Marketingu:
44 10 04

Gwarantujemy wysoką jakość druku,
sprawną obsługę
i fachowe doradztwo!

Druk

Press
Press
Press
Press
Press